BITWA NIEZŁOMNYCH

KSIĘGA DRUGA CYKLU RZĄDY MIECZA

MORGAN RICE

Morgan Rice

Bitwa Niezłomnych

«Lukeman Literary Management Ltd»

Rice M.

Bitwa Niezłomnych / M. Rice — «Lukeman Literary Management Ltd»,

“Morgan Rice znów dopięła swego! Autorka zbudowała kolejny magiczny świat zamieszkany przez silne postaci. MARSZ PRZETRWANIA jest pełen intryg, zdrad, niecodziennych przyjaźni i innych elementów, które sprawią, że zasmakujesz w każdej stronie. Powieść jest przepełniona akcją — będzie cię trzymać w napięciu do końca.” —Books and Movie Reviews, Roberto MattosNowa porywająca seria fantasy Morgan Rice, autorki bestsellerowej WYPRAWY BOHATERÓW (ponad 1000 pięciogwiazdkowych recenzji — do ściągnięcia za darmo). W BITWA NIEZŁOMNYCH (księga druga cyklu Rządy Miecza) 17-letni Royce uciekł i znajduje się na wolności. Gromadzi wieśniaków i podejmuje próbę uwolnienia swych braci i uzyskania wolności na dobre. Tymczasem Genevieve odkrywa wstrząsającą tajemnicę, która zaważy na reszcie jej życia. Musi zdecydować, czy ryzykować swe życie, by ocalić Royce’a — pomimo tego, iż młodzieniec sądzi, że go zdradziła. Możni przygotowują się do wojny z wieśniakami, a Royce jako jedyny może ich ocalić. Jednak jedyna nadzieja Royce’a tkwi w jego tajemnych mocach — mocach, których istnienia nie jest nawet pewien. BITWA NIEZŁOMNYCH to epicka opowieść o przyjaciołach i kochankach, o rycerzach i honorze, o zdradzie, przeznaczeniu i miłości. To opowieść o męstwie, wciągająca nas do świata fantasy, w którym się zakochamy. Przemówi do wszystkich grup wiekowych i płci. Teraz możesz zamówić także księgę trzecią cyklu — ONLY THE DESTINED — zanim będzie dostępna.

© Rice M.
© Lukeman Literary Management Ltd

Содержание

Rozdział pierwszy 10
Rozdział drugi 14
Rozdział trzeci 19
Rozdział czwarty 24
Rozdział piąty 28
Rozdział szósty 32
Конец ознакомительного фрагмента. 33

Morgan Rice
Bitwa Niezłomnych

O autorce

Powieści Morgan Rice zajmują pierwsze miejsce na liście najlepiej sprzedających się książek w rankingu USA Today. Jest autorką bestselerowej serii fantasy KRĄG CZARNOKSIĘŻNIKA, obejmującej siedemnaście części; bestselerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, obejmującej jedenaście części (kolejne w przygotowaniu); bestselerowego cyklu TRYLOGIA O PRZETRWANIU, post-apokaliptycznego thrillera obejmującego dwie części (kolejna w przygotowaniu); oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY, składającej się z sześciu części. Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad dwudziestu pięciu językach.

Pisarka chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie można dopisać swój adres do listy mailingowej, otrzymać bezpłatną książkę i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej informacje, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie.

Wybrane komentarze do książek Morgan Rice

"Jeśli po zakończeniu cyklu KRĄG CZARNOKSIĘŻNIKA uznałeś, że nie warto już żyć, nie masz racji. POWROTEM SMOKÓW Morgan Rice rozpoczyna coś, co zapowiada się na kolejną fantastyczną serię powieści, prowadzących w świat fantasy zamieszkany przez trolle i smoki. Jest to opowieść o męstwie, honorze, odwadze, magii i wierze w przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć silne postaci, którym kibicujemy na każdym kroku… To powieść, która powinna się znaleźć w biblioteczce każdego, kto uwielbia dobrze napisane fantasy."
– Books and Movie Reviews
Roberto Mattos

"Pełna akcji powieść fantasy, która bez wątpienia przypadnie do gustu fanom twórczości Morgan Rice, a także fanom takich powieści jak cykl DZIEDZICTWO Christophera Paoliniego… Fani powieści młodzieżowych pochłoną najnowszą książkę Morgan Rice i będą błagać o kolejne."
– The Wanderer, A Literary Journal (w odniesieniu do Powrotu smoków)

"Porywające fantasy, w którego fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intryga. Wyprawa bohaterów opowiada o narodzinach odwagi oraz zrozumieniu celu życia, które prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości… Dla miłośników treściwego fantasy – przygody, bohaterowie, środki wyrazu i akcja składają się na barwny ciąg wydarzeń, dobrze ukazujących przemianę Thora z marzycielskiego dzieciaka w młodzieńca, który musi stawić czoła nieprawdopodobnym niebezpieczeństwom, by przeżyć… Zapowiada się obiecująca epicka seria dla młodzieży."
– Midwest Book Review (D. Donovan, eBook Reviewer)

"KRĄG CZARNOKSIĘŻNIKA ma wszystko, czego potrzeba książce, by odnieść natychmiastowy sukces: intrygi, kontrintrygi, tajemnicę, walecznych rycerzy i rozwijające się związki, a wśród nich złamane serca, oszustwa i zdrady. To świetna rozrywka na wiele godzin, która przemówi do każdej grupy wiekowej. Wszyscy fani fantasy powinni znaleźć dla niej miejsce w swojej biblioteczce."
– Books and Movie Reviews, Roberto Mattos

"W pierwszej części epickiej serii fantasy Krąg Czarnoksiężnika (obecnie liczy czternaście części), odznaczającej się wartką akcją, autorka zapoznaje czytelników z czternastoletnim Thorgrinem "Thorem" McLeodem, który marzy o tym, by dołączyć do Srebrnej Gwardii, rycerskiej elity, która służy królowi… Styl Rice jest równy, a początek serii intryguje."
– Publishers Weekly

Książki autorstwa Morgan Rice

RZĄDY MIECZA
MARSZ PRZETRWANIA (CZĘŚĆ 1)
BITWA NIEZŁOMNYCH (CZĘŚĆ 2)

O KORONIE I CHWALE
NIEWOLNICA, WOJOWNICZKA, KRÓLOWA (CZĘŚĆ 1)
ZŁOCZYŃCA, WIĘŹNIARKA, KRÓLEWNA (CZĘŚĆ 2)
RYCERZ, DZIEDZIC, KSIĄŻĘ (CZĘŚĆ 3)

KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY
POWRÓT SMOKÓW (CZĘŚĆ 1)
POWRÓT WALECZNYCH (CZĘŚĆ 2)
POTĘGA HONORU (CZĘŚĆ 3)
KUŹNIA MĘSTWA (CZĘŚĆ 4)
KRÓLESTWO CIENI (CZĘŚĆ 5)
NOC ŚMIAŁKÓW (CZĘŚĆ 6)

KRĘGU CZARNOKSIĘŻNIKA
WYPRAWA BOHATERÓW (CZĘŚĆ 1)
MARSZ WŁADCÓW (CZĘŚĆ 2)
LOS SMOKÓW (CZĘŚĆ 3)
ZEW HONORU (CZĘŚĆ 4)
BLASK CHWAŁY (CZĘŚĆ 5)
SZARŻA WALECZNYCH (CZĘŚĆ 6)
RYTUAŁ MIECZY (CZĘŚĆ 7)
OFIARA BRONI (CZĘŚĆ 8)
NIEBIE ZAKLĘĆ (CZĘŚĆ 9)
MORZE TARCZ (CZĘŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZĘŚĆ 11)
KRAINA OGNIA (CZĘŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZĘŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZĘŚĆ 14)

SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZĘŚĆ 15)
POTYCZKI RECERZY (CZĘŚĆ 16)

TRYLOGIA O PRZETRWANIU
ARENA JEDEN: ŁOWCY NIEWOLNIKÓW (CZĘŚĆ 1)
ARENA DWA (CZĘŚĆ 2)

WAMPIRY, UPADŁA
PRZED ŚWITEM (CZĘŚĆ 1)

WAMPIRZE DZIENNIKI
PRZEMIENIONA (CZĘŚĆ 1)
KOCHANY (CZĘŚĆ 2)
ZDRADZONA (CZĘŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZĘŚĆ 4)
POŻĄDANA (CZĘŚĆ 5
ZARĘCZONA (CZĘŚĆ 6)
ZAŚLUBIONA (CZĘŚĆ 7)
ODNALEZIONA (CZĘŚĆ 8)
WSKRZESZONA (CZĘŚĆ 9)
UPRAGNIONA (CZĘŚĆ 10)
NAZNACZONA (CZĘŚĆ 11)
OPĘTANA (CZĘŚĆ 12)

Czy wiesz, że napisałam wiele serii powieści? Jeśli jeszcze ich nie czytałeś, kliknij na obrazek poniżej, żeby pobrać pierwsze księgi kilku z nich!

www.morganricebooks.com

Chcesz darmowe książki?

Dopisz się do listy mailingowej Morgan Rice, a otrzymasz bezpłatnie 4 książki, 3 mapy, 1 aplikację, 1 grę, 1 powieść graficzną i ekskluzywne upominki! Aby do niej dołączyć, odwiedź stronę:

Copyright © 2018 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejszy e-book przeznaczony jest wyłącznie do użytku osobistego. Niniejszy e-book nie może być odsprzedany lub odstąpiony innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dodatkowy egzemplarz dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla ciebie, powinieneś ją zwrócić i kupić własną kopię. Dziękujemy za poszanowanie ciężkiej pracy autora.

Niniejsza książka jest utworem literackim. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych jest całkowicie przypadkowe. Ilustracja na okładce: Dmitrijs Bindemanis, użyta na licencji Shutterstock.com.

Rozdział pierwszy

Royce dosiadł pierwszego wierzchowca, jakiego zdołał znaleźć i ruszył przed siebie, nie bacząc na rozlegające się za nim krzyki. Gnał przed siebie, pochylając się nisko na grzbiecie zwierzęcia jedynie wtedy, gdy ze świstem przelatywały obok niego strzały. Myśli o możnowładcy, którego właśnie zabił włócznią, krążyły mu w głowie niemal tak szybko, jak pędził jego koń.

Co gorsza, myśli zaprzątała mu także Genevieve. Nie potrafił wyrzucić z pamięci obrazu jej stojącej nad dołem, tuż obok mężczyzny, dla którego go porzuciła. Te myśli nieomal wystarczyły, by Royce się zatrzymał i pozwolił, by jadący za nim mężczyzna się z nim zrównał. Jedynie gniew pchał go naprzód, aż wbił pięty w boki konia tak mocno, że zwierzę zerwało się do galopu.

Kolejne strzały nadleciały z tyłu. Odbiły się z brzękiem od kamieni, z których wzniesiono pobliskie budynki, lecz utkwiły w szachulcu. Ludzie odskakiwali na boki przed rozpędzonym koniem, a Royce robił, co w jego mocy, by nie stratować żadnego z nich. Musiał szarpać za cugle, zwracając łeb konia to w tę, to w inną stronę, gdy zwierzę pędziło co tchu, dudniąc kopytami po bruku.

Do miarowego chóru końskich kopyt dołączyły kolejne, gdy żołnierze ruszyli konno w pogoń za Royce'em. Co niektórzy z nich mogli być rycerzami, lecz większość była gwardzistami, ścigającymi go w imieniu możnych, którzy przypatrywali się bezpiecznie z oddali.

– Za nim! – zagrzmiał jeden z nich. – Ukatrupić zabójcę!

Royce wiedział, że nie ma nadziei na to, że dojdą do porozumienia, jeśli go dogonią. Zabójstwo karano śmiercią, a on zabił ich księcia na ich oczach. Nie ustąpią, póki go nie schwytają lub póki nie będzie najmniejszej już szansy, by go odnaleźć.

Na razie mógł jednak tylko trzymać tempo, zawierzając skradzionemu rumakowi, trzymając się go podczas podskoków i zakrętów z płonną nadzieją, że nie spadnie. Royce zaciskał mocno dłoń na rękojeści kryształowego miecza, nie pozwalając by uścisk zelżał choćby na chwilę.

Jeden z jeźdźców zbliżył się do niego z wymierzoną w niego włócznią, gotowy do dźgnięcia. Royce oderżnął grot broni i walnął trzymającego ją mężczyznę. Włócznik przewrócił się i spadł z konia, a Royce pogalopował dalej przed siebie.

Ścigało go jednak więcej mężczyzn, i to zdecydowanie zbyt wielu. Pomimo swej siły i zręczności, Royce wątpił, by mógł zmierzyć się z tyloma przeciwnikami naraz. Pędził więc na swym skradzionym rumaku, próbując zarazem obmyślić, jakim sposobem zdoła się im wymknąć.

Wypadł z grodu i fort za jego plecami malał coraz bardziej, gdy wierzchowiec niósł go przez pola, pokonując górki i miedze. Pomiędzy nimi płynęły niewielkie strumyki i Royce kierował się tam, gdzie były najwęższe, zmuszając konia by je przeskakiwał, a nie biegł przez nie, rozbryzgując wodę. Każdy niepewny krok równał się temu, że pogoń zbliżała się do niego coraz bardziej.

Następnie skierował się ku niewysokiemu murkowi. Koń przeskoczył niepołączone zaprawą kamienie nie dotykając ich. Zerknąwszy przez ramię, Royce spostrzegł, że jeden z koni ścigających go mężczyzn potyka się i przewraca, pociągając za sobą kolejnego. To jednak nie wystarczyło.

Kolejny jeździec zrównał się z Royce'em, przechylając się w bok, jak gdyby zamierzał zepchnąć Royce'a z siodła. Royce trzymał się kurczowo swego wierzchowca i gdy walnął żołnierza łokciami i głową, utrzymał się w miejscu jedynie dzięki swej sile. Dostrzegł błysk ostrza sztyletu, gdy mężczyzna gotował się, by zadać mu cios od tyłu, ale Royce odwrócił się raptownie i naparł na mężczyznę ze wszystkich sił.

Gwardzista runął z rozpędzonego konia i walnąwszy z chrzęstem o ziemię legł bez ruchu. Royce pospieszył znów konia naprzód, ale odległość pomiędzy nim a ścigającymi go mężczyznami zmniejszyła się.

Royce wiedział, że nie może liczyć jedynie na to, że utrzyma tę przewagę. Jego pogoń była zbyt zdeterminowana i Royce nie mógł wiedzieć, czy jego koń przetrzyma tamte. Nawet gdyby tak było, kwestią czasu było nim posłana z łuku strzała ugodzi zwierzę tak, że nie będzie mogło biec dalej.

Musiał obmyślić lepszy sposób.

Przed sobą w oddali zobaczył wąwóz, którego brzegi spięte były niewielkim mostkiem. Royce zignorował go i zamiast ku niemu skierował się ku miejscu, gdzie nad wąwozem leżało powalone drzewo. Gdy byli dziećmi, on i jego bracia biegali po nim raz za razem do niewielkiego lasku, który rósł po przeciwnej jego stronie. Royce nie miał pojęcia, czy koń, którego dosiadał zdoła pokonać tę drogę.

Była to jednak jego najlepsza szansa, pokierował więc zwierzę w stronę pnia, zmuszając je by wbiegło na niego nie zwalniając kroku. Royce poczuł, jak jedno z jego kopyt ześlizguje się i na chwilę odebrało mu dech, lecz zdołał naprowadzić zwierzę z powrotem na częściowo przegniłe drzewo.

Kolejne strzały przecięły ze świstem powietrze obok niego, gdy Royce zjeżdżał na twardy grunt. Obrócił się i zobaczył, że konie ścigających go mężczyzn zatrzymują się i cofają przed pniem. Royce uderzył w niego kryształowym mieczem i poczuł, jak pień ustępuje i spada w płynącą w dole rzekę.

– To nie zatrzyma ich na długo – wyszeptał Royce do swojego wierzchowca, poganiając go znów naprzód. Mężczyźni po przeciwnej stronie wąwozu zawracali tymczasem konie i pędzili już w stronę miejsca, w którym stał mostek.

Royce wiedział, że zyska dzięki temu kilka minut, które będzie musiał w pełni wykorzystać, by uciec. Zarazem wiedział jednak, że nie może jedynie uciekać. Ucieczką nic nie zyska. Ucieczką nic nie zmieni.

Puścił się w stronę lasu z pełną prędkością, obmyślając, co dalej. Pochylał się pod zawieszonymi nisko gałęziami, usiłując zniknąć z pola widzenia ścigającym go mężczyznom. W leśnej gęstwinie panowała cisza, nie licząc odgłosów wydawanych przez drobną leśną zwierzynę i ptasiego gwizdu, szmeru wody i szelestu liści. Gdzieś z oddali dobiegał dźwięk piszczałki, na której grał jakiś leśnik. Royce miał nadzieję, że nie naprowadzi na niego żołnierzy. Nie chciał sprowadzić kłopotów na nikogo innego.

Ta myśl sprawiła, że zatrzymał się pomiędzy drzewami. Ścigający go mężczyźni pojadą za nim do jego osady, jeśli się tam uda, lecz jeśli tego nie zrobi, być może nigdy nie zdoła zdobyć wsparcia. Gorzej jeszcze – ludzie księcia mogą i tak ją najechać, chcąc wymierzyć karę wszystkim, którzy mieli cokolwiek wspólnego z młodzieńcem, który sprowadził śmierć na ich pana.

Musiał znaleźć sposób, by odwrócić uwagę ludzi księcia od wioski i zyskać czas na wszystko, co musiał zrobić.

Raz jeszcze dobiegł Royce'a dźwięk piszczałki i młodzieniec ruszył w tamtą stronę, kierując konia pomiędzy drzewami. Prześlizgiwał się pomiędzy nimi najszybciej, jak mógł. Był świadomy tego, jak niewiele czasu zyskał dzięki strąceniu w przepaść powalonego drzewa, a czuł teraz, że potrzebuje każdej sekundy, którą może zyskać.

Natknął się na pierwszą świnię niespełna minutę później. Ryła w leśnej ściółce, szukając owoców lub grzybów, albo czegoś jeszcze innego. Sięgałaby Royce'owi po pas, gdyby nie siedział na końskim grzbiecie, i węsząc szła przed siebie, nie zważając na niego.

Kolejne świnie wyszły błąkając się spomiędzy drzew, węsząc i szukając czegoś do zjedzenia. Na ich cielskach widniały oznakowania co najmniej kilku gospodarstw. Melodia piszczałki rozbrzmiewała teraz głośniej i przez kępę olch Royce dostrzegł sylwetkę młodzieńca siedzącego na pniaku powalonego dębu.

– Witaj – zawołał młodzieniec na widok Royce'a, machając do niego ręką, w której trzymał piszczałkę. – Nie pędź tędy zbyt prędko. Moje świnie są spokojne, ale jak je nastraszyć, to i twojego konia przewrócą, takie są duże.

– Nadjeżdżają w tę stronę mężczyźni – powiedział Royce, zgadując, że najlepszą drogą jest w tej sytuacji szczerość. Młodzieńcowi takiemu jak ten nie spodobałoby się, gdyby ktoś próbował go oszukać. – Mężczyźni, którzy pragną mnie zabić lub schwytać.

Świniopas wyglądał na lekko tym zaniepokojonego.

– A cóż mi do tego? – zapytał. – Ja tylko wypasam świnie.

– Czy sądzisz, że takim jak oni sprawi to różnicę? – spytał Royce. Każdy chłop wiedział, jacy potrafią być ludzie księcia i jak niebezpiecznie było znaleźć się im na drodze, gdy poszukiwali kogoś.

– Nie – odrzekł świniopas. Zmierzył Royce'a spojrzeniem. – A czemu cię szukają?

Royce podejrzewał, że jeśli wyjawi młodzieńcowi prawdę, zbytnio go tym przerazi. Cóż jednak miał począć? Nie mógł wszak stwierdzić, że jest kłusownikiem.

– Jestem… Ja zabiłem księcia – odpowiedział Royce, nie wiedząc, co innego powiedzieć. Nie mógł prosić o to, o co zamierzał poprosić młodzieńca, nie wyjawiwszy mu wpierw prawdy. – Jego ludzie mnie ścigają, a jeśli mnie złapią, zabiją.

– Chcesz więc wprowadzić ich w moje świnie? – zapytał świniopas. – A co stanie się ze mną, jeśli nadal tu będę, kiedy się zjawią?

– Mam pewien pomysł – odparł Royce. Zeskoczył ze swego wierzchowca i wyciągnął wodze w stronę młodzieńca. – Weź mojego konia. Odjedź stąd. To najlepsza szansa dla nas obu.

– Chcesz, żebym udawał, że jestem tobą? – zapytał świniopas. – Po tym, czego się dopuściłeś? Pół królestwa by mnie ścigało.

Royce skinął głową. Nie byli do siebie podobni – Royce był znacznie roślejszy i mocniej umięśniony i choć obaj mieli jasne włosy, które sięgały im ramion, to nigdy by ich ze sobą nie pomylono. Rysy twarzy także mieli inne: twarz świniopasa była okrągła i pospolita, a Royce miał kwadratową żuchwę i rysy twarzy wyostrzone przez liczne walki.

– Nie na długo. Potrafisz jeździć konno, prawda?

– A jakże, mój tatko się uparł. Zdarzało mi się kłusować wozem przez pola.

– Ten koń pobiegnie znacznie szybciej niż kłusem – przyrzekł Royce, nadal trzymając w wyciągniętej dłoni wodze. – Weź mojego konia, przez jakiś czas jedź przed nimi, i zostaw go, gdy znikniesz im z oczu. Nigdy się nie dowiedzą, że to ty na nim jechałeś i nadal będą szukać mnie.

Royce był pewien, że jego plan się powiedzie. Jeśli świniopas utrzyma dystans dzielący go od pogoni, będzie bezpieczny w chwili, gdy żołnierze stracą go z oczu.

– I tylko to musiałbym zrobić? – spytał świniopas. Royce widział, że zastanawia się nad jego słowami.

– Odwiedź ich tylko od wiosek – powiedział. – Muszę dostać się do mojej wsi, a ty będziesz mógł powrócić do swojej w chwili, gdy ich zgubisz.

– Szukasz więc tylko sposobu na to, żeby uniknąć kary? – zapytał młodzieniec.

Royce zrozumiał go. Świniopas nie chciał pomóc mu w tak poważnej zbrodni. Nie chodziło jednak tylko o to. Nawet w chwili, gdy cisnął tę włócznię chodziło o coś więcej.

– Uciskają nas jak tylko potrafią – odrzekł Royce. – Wciąż nam coś odbierają, a nie dają nic w zamian. Książę odebrał mi kobietę, którą kocham i oddał ją swemu synowi. Uwięził mnie na wyspie, gdzie widziałem, jak zabijają młodzieńców w moim wieku. Musiałem walczyć na śmierć w dole! Nadszedł czas, byśmy zmienili ten porządek. Nadszedł czas, by było lepiej.

Widział, że młodzieniec rozważa jego słowa.

– Jeśli nie wrócę do mojej wsi, wielu ludzi straci życie – dodał Royce. – Ale jeśli się tam udam, a oni pojadą za mną, zginie jeszcze więcej. Potrzebuję twojej pomocy.

Świniopas dał krok w przód.

– Czy otrzymam za to zapłatę?

Royce rozłożył ręce. Nic nie miał.

– Jeśli zdołam cię odnaleźć po wszystkim, znajdę sposób, by ci się odpłacić. Jak cię odnajdę?

– Jestem Berwick z Górnego Lesham.

Royce skinął głową i to wystarczyło świniopasowi. Chwycił za wodze Royce'owego rumaka i dosiadłszy go popędził go piętami naprzód i ruszył pomiędzy drzewami w drogę, która nie prowadziła do żadnej z wiosek, które Royce znał. Royce odetchnął z ulgą.

Była ona jednak krótkotrwała. Musiał się jeszcze ukryć. Cofnął się pomiędzy drzewa i znalazł miejsce wśród listowia, gdzie mógł przykucnąć w cieniu pnia i schować się za rozłożystymi gałęziami ostrokrzewu.

Kucnął i nie poruszał się, ledwie ośmielając się oddychać. Czekał. Świnie nadal węszyły dokoła niego i jedna z nich podeszła bliżej, trącając ryjem gęstwę liści, za którą się ukrył.

– Odejdź stąd – wyszeptał Royce, siłą woli próbując zmusić zwierzę do odejścia. Zamilkł, gdy usłyszał tętent kopyt zbliżających się koni.

Na polanę wypadli mężczyźni, zakuci w zbroje i z bronią, jeszcze bardziej rozwścieczeni, niż gdy przechytrzył ich nad wąwozem. Royce miał szczerą nadzieję, że nie postawił świniopasa w zbytnim niebezpieczeństwie, wplątując go w tę ucieczkę.

Świnia nadal węszyła tuż obok niego. Royce'owi zdało się, że jeden z mężczyzn się jej przypatruje i zastygł w bezruchu. Nie odważył się nawet mrugać. Był pewien, że jeśli świnia jakkolwiek zareaguje na jego obecność, mężczyźni dopadną go i zabiją.

Wtedy jednak mężczyzna odwrócił się i żołnierze ruszyli dalej przed siebie.

– Prędko! – krzyknął jeden z nich. – Nie mógł się zbytnio oddalić!

Żołnierze ruszyli co koń wyskoczy ścieżką, którą obrał świniopas, najpewniej podążając za jego śladami. Nawet kiedy już zniknęli, Royce nie ruszał się, zaciskając dłoń na rękojeści miecza i upewniając się, że nie jest to pułapka, która miała wywabić go z kryjówki.

Wreszcie odważył się poruszyć i wyszedł na polanę, odpędzając od siebie świnie. Zatrzymał się na chwilę, by się rozejrzeć i rozeznać, w którym kierunku leży jego wieś. Dzięki temu podstępowi zyskał nieco czasu, lecz i tak musiał działać szybko.

Musiał dostać się do domu, nim ludzie księcia zabiją wszystkich jego pobratymców.

Rozdział drugi

Genevieve mogła jedynie stać w milczeniu w wielkiej sali zamku, gdy jej mąż kipiał ze złości. Gdy się nie wściekał, Altfor był właściwie urodziwym młodzieńcem. Miał długawe falujące brązowe włosy, orli nos i ciemne oczy o głębokim spojrzeniu. Genevieve jednak spostrzegła się, że w duszy widzi go zawsze właśnie takiego, z czerwoną twarzą i rozjuszonego, jak gdyby to wcielenie, a nie to drugie, było tym prawdziwym.

Nie śmiała się poruszyć, nie śmiała ściągnąć na siebie jego gniewu i najwidoczniej nie ona jedna. Obok niej słudzy i pochlebcy poprzedniego księcia stali w ciszy, nie chcąc być pierwszymi, którzy zwrócą na siebie jego uwagę. Nawet Moira trzymała się na uboczu, choć i tak stała tam, gdzie Genevieve dobrze ją widziała, bliżej męża Genevieve niż ona sama, i to w niejednym znaczeniu tego słowa.

– Mój ojciec nie żyje! – ryknął Altfor, jak gdyby ktoś z obecnych mógł jeszcze nie wiedzieć, co stało się w dole, w którym odbywały się walki. – Wpierw mój brat, a teraz ojciec został zamordowany przez zdrajcę, a wy wszyscy milczycie.

Ten gniew wydał się Genevieve groźny. Był zbyt gwałtowny i nieukierunkowany. Choć Royce'a tu nie było, wyrwał się z Altfora, próbując znaleźć winnego. Genevieve zauważyła, że chciałaby, by Royce tu był, a zarazem była wdzięczna, że go tu nie ma.

Co gorsza, z tęsknoty bolało ją za nim serce i żałowała, że nie była w stanie zrobić czegoś więcej niż tylko stać obok swego męża i przypatrywać się Royce'owi z trybun, gdy walczył w dole. W głębi duszy pragnęła być z nim wtedy, wiedziała jednak, że nie może pozwolić, by Altfor to zauważył. I tak był już rozwścieczony i Genevieve wiedziała, jak łatwo ta wściekłość może przenieść się na nią.

– Czy nikt nie opanuje tej sytuacji? – zapytał Altfor.

– O to samo chciałem zapytać, bratanku – rozległ się surowy głos.

Na widok mężczyzny, który wszedł do sali, Genevieve zapragnęła cofnąć się przynajmniej o tyle, co Altfor. Przed płomiennym gniewem Altfora pragnęła się schować, ale przy tym mężczyźnie… było w nim coś zimnego, jak gdyby jakaś część niego wykuta była z lodu. Był starszy od Altfora o jakieś dwadzieścia lat, miał rzedniejące włosy i smukłą sylwetkę. Idąc, opierał się na czymś, co na pierwszy rzut oka zdawało się być kosturem, lecz po chwili Genevieve dostrzegła rękojeść wystającą z pochwy i zorientowała się, że to miecz, nadal zatknięty w pochwie. Po sposobie, w jaki wspierał się na nim Genevieve poznała, że to odniesiona rana, a nie wiek zmusza go do tego.

– Stryju Alistairze – odezwał się Altfor. – Nie… Nie spodziewaliśmy się ciebie.

Głos Altfora zabrzmiał tak, jak gdyby obecność przybysza zaniepokoiła go, co zdumiało Genevieve. Wcześniej zawsze zdawał się doskonale nad wszystkim panować, ale obecność tego mężczyzny całkowicie zbiła go z tropu.

– Najwyraźniej – odparł smukły mężczyzna. Jego dłoń błądziła po rękojeści miecza, na którym się wspierał. – Gdy nie zaprosiłeś mnie na swoje zaślubiny, pewnieś myślał, że pozostanę w mych włościach, z dala od grodu, i pozwolę, byś narobił bałaganu po śmierci mego brata – zwrócił spojrzenie na Genevieve, wypatrując ją w ciżbie tak chyżo jak jastrząb. – Winszuję, dziewczyno. Widzę, że mój bratanek ma upodobanie do próżnego.

– Ja… Nie będziesz mówił do mnie w ten sposób – powiedział Altfor. Upłynęła chwila, nim przypomniał sobie, że powinien stanąć w obronie Genevieve. – Ani do mojej żony. Jestem księciem!

Alistair podszedł do Genevieve i tym razem jego miecz opuścił pochwę. W jego dłoni wydawał się lekki, szeroki i ostry jak brzytwa. Genevieve zamarła w miejscu, niemal nie śmiejąc oddychać, gdy stryj Altfora przyłożył czubek klingi o cal od jej szyi.

– Mógłbym poderżnąć tej dziewce gardło, a żaden z twoich ludzi nie kiwnąłby palcem, by mnie powstrzymać. – rzekł Alistair. – Ty z pewnością byś tego nie zrobił.

Genevieve nie musiała spoglądać na Altfora, by wiedzieć, że to prawda. Nie był mężem, któremu zależałoby na niej wystarczająco, by próbować jej bronić. Żaden z dworzan nie przyjdzie jej z pomocą, a Moira… Moira przypatrywała jej się tak, jak gdyby na poły miała nadzieję, że Alistair to zrobi.

Genevieve musiała ratować się sama.

– Dlaczego miałbyś mnie dźgnąć, panie? – zapytała.

– A dlaczego nie? – odparł. – Owszem, jesteś urodziwa: jasnowłosa, o zielonych oczach i smukłej sylwetce. Który mężczyzna by cię nie pragnął? Jednakże wiejskie dziewki nie są trudne do zastąpienia.

– Odniosłam wrażenie, że to małżeństwo uczyniło ze mnie kogoś ważniejszego – powiedziała Genevieve, nie pozwalając, by głos jej zadrżał pomimo bliskości ostrza. – Czy zrobiłam coś, by cię urazić?

– Nie wiem, dziewczyno. Zrobiłaś? – zapytał, świdrując ją wzrokiem. – Posłano wiadomość, a w niej nakreślono, dokąd zbiegł chłopiec, który uśmiercił mojego brata. Nie dotarła ona jednak ani do mnie, ani nikogo innego nim było dalece za późno. Czy wiesz coś o tym?

Genevieve wiedziała na ten temat wszystko, gdyż to właśnie ona opóźniła dostarczenie wiadomości. Tylko tyle mogła zrobić, a i tak zdawało jej się, że to zbyt mało, zważywszy na to, co czuła do Royce'a. Pomimo tego zmusiła się, by przybrać spokojny wyraz twarzy, udając niewinną, gdyż w tej chwili była to jej jedyna możliwość obrony.

– Nie rozumiem, panie – odpowiedziała. – Sam rzekłeś, że jestem zwykłą wieśniaczką, jak więc mogłabym zrobić cokolwiek, by opóźnić przekazanie takiej wiadomości?

Kierując się instynktem, osunęła się na kolana, poruszając się powoli, by nie nadziać się na klingę miecza.

– Dostąpiłam zaszczytu – rzekła. – Zostałam wybrana przez twego bratanka, księcia. Poślubił mnie i dzięki temu stanęłam na lepszej pozycji. Żyję tak, jak nigdy nawet nie śniłam. Czemuż miałabym chcieć to zaprzepaścić? Jeśli naprawdę sądzisz, że jestem zdrajczynią, tnij, panie. Tnij.

Genevieve skryła się za niewinnością niczym za tarczą i miała nadzieję, że okaże się ona wystarczająco mocna, by odepchnąć cios miecza, który w przeciwnym razie mógł na nią spaść. Miała taką nadzieję, a zarazem nie, gdyż w tej chwili pchnięcie w serce współgrałoby z tym, co czuła, zważywszy na to, jak źle sprawy potoczyły się z Royce'em. Podniosła wzrok i spojrzała w oczy Altforowego stryja. Nie odwracała spojrzenia ani nie zdradziła się nijak z tym, co zrobiła. Mężczyzna cofnął miecz, jak gdyby miał zadać śmiertelne pchnięcie… po czym opuścił broń.

– Wygląda na to, Altofrze, że twoja żona ma w sobie więcej stali niż ty.

Genevieve odetchnęła i podniosła się, a jej mąż ruszył wyniośle w ich stronę.

– Stryju, starczy tych gierek. To ja jestem tu księciem, a mój ojciec…

– Mój brat był głupcem na tyle, by przekazać majątek tobie, lecz nie udawajmy, że to czyni z ciebie prawdziwego księcia – powiedział Alistair. – To wymaga umiejętności przewodzenia, dyscypliny i szacunku twych ludzi. Których ci brak.

– Mógłbym rozkazać mym ludziom wtrącić cię do lochu – warknął Altfor.

– Ja mógłbym rozkazać im to samo – skontrował Alistair. – Powiedz, jak sądzisz, którego z nas by posłuchali? Najmniej ukochanego syna mego brata czy brata, który przewodził armiom? Tego, który pozwolił zbiec jego zabójcy czy tego, który powstrzymał atak w Haldermark? Chłopca czy mężczyzny?

Genevieve domyślała się odpowiedzi na to pytanie i nie podobało jej się, do czego może ona doprowadzić. Czy jej się to podobało, czy nie, była żoną Altfora i jeśli jego stryj postanowi się go pozbyć, nie miała żadnych złudzeń co do tego, co stałoby się z nią. Szybkim krokiem podeszła do męża i położyła dłoń na jego ramieniu. Wyglądało to na zwyczajny gest wsparcia, lecz tak naprawdę usiłowała skłonić go, by pohamował swój gniew.

– To księstwo zostało doprowadzone do ruiny – orzekł Alistair. – Mój brat popełnił błędy i póki nie zostaną one naprawione, dopilnuję, by wszystko szło właściwym torem. Czy ktokolwiek pragnąłby zakwestionować moje prawo do tego?

Genevieve zauważyła, że wciąż trzyma miecz w dłoni, najwyraźniej czekając na to, aż ktoś się odezwie. Oczywiście był to Altfor.

– Oczekujesz, że przysięgnę ci wierność? – zapytał Altfor. – Oczekujesz, że klęknę przed tobą, gdy to mnie ojciec uczynił księciem?

– Księciem można zostać w dwojaki sposób – odburknął Alistair. – Z nadania władcy albo dzięki sile, która pozwoli zdobyć tytuł. Czy dysponujesz którąkolwiek z tych rzeczy, bratanku? Czy klękniesz?

Genevieve przyklękła, nim zrobił to jej mąż, pociągając go za rękę, by klęknął obok niej. Zrobiła to nie dlatego, że dbała o bezpieczeństwo Altfora – nie po tym wszystkim, czego się dopuścił – lecz w tej chwili wiedziała, że od jego bezpieczeństwa zależało jej.

– Dobrze, stryju – wycedził Altfor przez zaciśnięte zęby. – Usłucham. Wygląda na to, że nie mam wyboru.

– Nie – zgodził się lord Alistair. – Nie masz.

Powiódł spojrzeniem po sali i jeden za drugim zebrani w sali ludzie zaczęli klękać. Genevieve widziała, jak przyklękają dworzanie i służba. Zobaczyła nawet, jak Moira upada na kolana i w głębi duszy pomyślała ze złością, czy jej domniemana przyjaciółka spróbuje uwieść stryja Altfora, podobnie jak uwiodła jego.

– Tak lepiej – rzekł lord Alistair. – Wyślemy więcej ludzi na poszukiwania chłopca, który zabił mojego brata. Posłuży nam za przykład. Tym razem bez żadnych gierek. Spotka go śmierć, na którą zasłużył.

Do sali wpadł posłaniec w rodowej liberii. Genevieve widziała, że patrzy to na Altfora, to na lorda Alistaira, najwyraźniej próbując zdecydować, komu przekazać wiadomość. Wreszcie dokonał, jak się zdawało Genevieve, oczywistego wyboru i zwrócił się ku stryjowi Altfora.

– Daruj, panie – odezwał się. – ale na ulicach rozpętały się zamieszki. Ludzie buntują się na całych ziemiach należących do poprzedniego księcia. Potrzebujemy cię, panie.

– Aby uciszyć chłopów? – prychnął lord Alistair. – Znakomicie. Zbierz tylu ludzi, ilu może odejść od poszukiwań. Niech czekają na mnie na dziedzińcu. Pokażemy motłochowi, co potrafi prawdziwy książę!

Wymaszerował z sali, opierając się na swym zatkniętym w pochwie mieczu. Genevieve ośmieliła się odetchnąć z ulgą, gdy mężczyzna wyszedł, lecz było to krótkotrwałe uczucie. Altfor podnosił się już z kolan, a jego złość była wyraźnie wyczuwalna.

– Wynoście się, wszyscy! – krzyknął na zebranych w sali dworzan. – Wyjdźcie i pomóżcie mojemu stryjowi stłumić tę rewoltę albo pomóżcie w poszukiwaniach zdrajcy, ale wyjdźcie natychmiast, bym nie musiał powtarzać!

Gdy zaczęli opuszczać salę, Genevieve chciała się podnieść, by wyjść wraz z nimi, poczuła jednak na ramieniu dłoń Altfora, który popchnął ją z powrotem w dół.

– Nie ty, żono.

Genevieve czekała, aż sala opustoszeje. Pozostali w niej jedynie ona, dwóch gwardzistów i, co gorsza, przyglądająca się jej z kąta sali Moira, która nie próbowała już nawet udawać, że darzy ją sympatią.

– Ty – zaczął Altfor. – musisz wyjaśnić mi, jaką rolę odegrałaś w ucieczce Royce'a.

– Ja… nie wiem, o czym mówisz – odparła Genevieve. – Byłam tutaj przez cały ten czas. Jak mogłam…

– Zamilcz – odparował Altfor. – Gdyby nie to, że wyszedłbym na kogoś, kto nie panuje nad tobą, stłukłbym cię za to, że uważasz mnie za tak wielkiego głupca. To oczywiste, że coś zrobiłaś. Nie ma w pobliżu nikogo innego, komu na sercu leżałby los tego zdrajcy.

– Na ulicach są całe tłumy, które mogą udowodnić, że jest inaczej – powiedziała Genevieve, podnosząc się na nogi. Altfor nie budził w niej takiego lęku, jak jego stryj.

Nie, to nie była prawda. Bała się go, lecz był to inny rodzaj strachu. Przy Altforze ogarniał ją lęk przed nagłą agresją i okrucieństwem, lecz udawanie uległości nie chroniło jej przed nimi ani trochę.

– Tłumy? – żachnął się Altfor. – Będziesz teraz drwić ze mnie i mówić o gawiedzi? Sądziłem, że wyciągnęłaś naukę, że nie należy mnie złościć, ale jak widzę, najwyraźniej nie.

Teraz Genevieve rzeczywiście się przestraszyła, gdyż spojrzenie Altfora zapowiadało coś znacznie gorszego niż ciosy skierowane wobec niej.

– Sądzisz, że jesteś zupełnie bezpieczna, gdyż nie skrzywdzę mej żony – rzekł Altfor. – Ale zapowiedziałem ci, co się stanie, jeśli nie będziesz mi posłuszna. Odnajdziemy twego ukochanego Royce'a i zabijemy go, a jeśli tylko będę miał okazję zadecydować o tym, jego śmierć będzie znacznie wolniejsza, niż gdyby obmyślił ją mój stryj.

Jego słowa nie przestraszyły Genevieve, choć myśl o tym, że Royce'owi miałaby stać się krzywda sprawiła jej fizyczny ból, niczym cios. Prawdą było jednak, że wymknął się Altforowi – już ona tego dopilnowała. Nie było już możliwości, by on lub lord Alistair zdołali go schwytać.

– Pozostali jeszcze jego bracia – powiedział Altfor i Genevieve odebrało dech.

– Rzekłeś mi, że nie zabijesz ich, jeśli cię poślubię – odrzekła.

– Ale teraz jesteś moją żoną, i to nieposłuszną – skontrował Altfor. – Tych trzech wiozą już na miejsce egzekucji. Zamkniemy ich w klatkach na wzgórzu, gdzie będą głodować i czekać na śmierć, póki nie pożrą ich dzikie bestie.

– Nie – sprzeciwiła się Genevieve. – Przyrzekłeś.

– A ty przyrzekłaś, że będziesz wierną żoną! – huknął w odpowiedzi Altfor. – A zamiast tego nadal pomagasz temu, o którym nie powinnaś już wcale myśleć!

– Ty… Ja nic nie zrobiłam – upierała się Genevieve, wiedząc, że przyznanie się tylko by wszystko pogorszyło. Altfor był możnowładcą i nie mógł skrzywdzić jej samej, nie bez dowodu i bez sądu.

– Ach, nadal chcesz pogrywać sobie w ten sposób – rzekł Altfor. – Cena za twą zdradę podniosła się zatem. Zbyt wiele rzeczy odwraca twoją uwagę w zewnętrznym świecie, odbiorę ci je więc.

– Co… Co masz na myśli? – zapytała Genevieve.

– Twoja siostra stanowiła dla mnie rozrywkę przez krótką chwilę, gdy rozzłościłaś mnie pierwszym razem. Teraz zginie za to, czego się dopuściłaś. Podobnie jak twoi rodzice i cała reszta w tej dziurze, którą nazywasz domem.

– Nie! – wrzasnęła Genevieve, chwytając za nieduży nożyk do krojenia jedzenia, który nosiła przy sobie. W tej chwili uszło z niej całe opanowanie i potrzeba bycia ostrożną. Przysłoniło je widmo strasznych czynów, których chciał dopuścić się jej mąż. Genevieve zrobiłaby wszystko, by ochronić swą siostrę. Wszystko.

Altfor był jednak szybszy. Chwycił ją mocno za dłoń i odsunął ją. Pchnął Genevieve w tył i dziewczyna upadła ciężko na posadzkę. Altfor stanął nad nią. Spojrzał na nią nienawistnie i jedynie dłoń Moiry powstrzymała go przed posunięciem się dalej.

– Pamiętaj, że póki jest twoją żoną, jest równa możnym – wyszeptała Moira. – Skrzywdź ją, a potraktują cię jak przestępcę.

– Nie sądź, że możesz mówić mi, co robić – warknął Altfor do Moiry, która przysunęła się jeszcze bliżej niego.

– Nie mówię, ledwie sugeruję, mój panie, mój książę. Z żoną, a z czasem także i dziedzicem, i prawem po twej stronie, zdołasz wszystko odzyskać.

– A tobie cóż na tym zależy? – zapytał Altfor, przenosząc wzrok na nią.

Jeśli Moirę uraziły jego słowa, nie okazała tego. Wręcz przeciwnie, zdawała się triumfować, gdy zwróciła wzrok na leżącą Genevieve.

– Twój brat, mój mąż, odszedł, a wolę nadal być kochanką mężczyzny u władzy niż kobietą bez władzy – powiedział Moira. – A ty… ty jesteś najpotężniejszym mężczyzną, jakiego poznałam.

– I miałbym chcieć ciebie zamiast mojej żony? – zapytał Altfor. – Dlaczego miałbym zbierać resztki po mym bracie?

Nawet Genevieve pomyślała, że to okrutna gra, zważywszy że przyłapała go już z Moirą.

Ponownie jednak to, co czuła Moira, pozostało dobrze ukryte.

– Pójdź ze mną – zaproponowała. – a przypomnę ci, w czym tkwi różnica, podczas gdy twoi ludzie zabiją wszystkich tych, którzy na to zasłużyli. Twoi ludzie, nie twego stryja.

To wystarczyło Altforowi, by przyciągnąć ją do siebie i pocałować, choć Genevieve i gwardziści stali tuż obok. Chwycił Moirę za ramię i pociągnął w kierunku wyjścia z wielkiej sali. Genevieve zobaczyła, jak Moira zerka przez ramię. Jej uśmiech był tak okrutny, że zmroził Genevieve krew w żyłach.

W tej chwili Genevieve nie dbała jednak o to. Nie dbała o to, że Altfor zamierzał zdradzić ją w sposób, w który zdradził ją już najwyraźniej tak wiele razy. Nie dbała o to, że niemal zginęła z ręki jego stryja, ani o to, że obaj widzieli w niej przeszkodę.

Obchodziło ją jedynie to, że jej siostra jest w niebezpieczeństwie i musiała znaleźć jakiś sposób, by jej pomóc, nim będzie za późno. Altfor zamierzał ją zabić, a Genevieve nie miała pojęcia, kiedy to się zdarzy.

Rozdział trzeci

Royce biegł przez las, przyciskając schowany w pochwie miecz do boku, by nie zahaczyć nim o drzewo. Gałęzie pękały z trzaskiem pod jego stopami. Bez konia, którego ukradł, nie przemieszczał się wystarczająco szybko. Musiał biec prędzej.

Przyspieszył, popędzany myślą o powrocie do ludzi, których los leżał mu na sercu. Na Czerwonej Wyspie nauczył się, by się nie zatrzymywać, bez względu na to, jak bardzo serce tłucze mu się w piersi albo bolą go nogi. Po tym, jak przetrwał pełen przeszkód bieg przez wyspę, zmuszenie się do długiego, szybkiego biegu przez las nie było dla niego ani trochę trudne.

Pomagały mu w tym jego prędkość i siła. Drzewa, które mijał, przesuwały się szybko po obu jego stronach, a gałęzie drapały go, lecz Royce nie zważał na nie. Słyszał, jak leśna zwierzyna czmycha przed biegnącym przez ich terytorium intruzem i wiedział, że musi znaleźć lepszy sposób, by dotrzeć do wsi. Jeśli nadal będzie tak hałasował, zwróci na siebie uwagę każdego żołnierza w księstwie.

– Niech przyjdą – wyszeptał Royce do siebie. – Zabiję ich wszystkich.

Po części chciał tego dokonać, i nie tylko tego. Zdołał zabić lorda, który umieścił jego i jego kompanów w dołach, by walczyli. Zdołał zabić strażników, którzy rzucili się na niego… ale wiedział też, że nie podoła żołnierzom z całego księstwa. Najsilniejsi, najszybsi, najgroźniejsi mężowie nie stawali do boju z więcej niż kilkoma przeciwnikami naraz, gdyż ciosy mogłyby spaść nań niespodziewanie ze zbyt wielu stron.

– Znajdę sposób, by coś zrobić – powiedział Royce, lecz mimo tego zwolnił i biegł przez las ostrożniej, starając się nie zakłócać ciszy panującej wśród okolicznych drzew. Słyszał teraz ptasie trele i odgłosy innych stworzeń. Dźwięki przemieniały to, co zdawało się pustą przestrzenią w krainę dźwięków, które niosły się po całym lesie.

Cóż mógł zrobić? W pierwszym odruchu, zaraz gdy uciekł, chciał zbiec dalej, na dzikie ziemie, których nie zamieszkiwał człowiek, lecz panowali tam Pictowie. Myślał o tym, by zniknąć, zwyczajnie zapaść się pod ziemię, bo co nakazywało mu tu pozostać?

Na ułamek sekundy w jego głowie pojawił się obraz Genevieve, patrzącej na niego z trybun nad dołem, najwyraźniej obojętnej na to, co się z nim dzieje. Odepchnął od siebie to wspomnienie, bo nie chciał myśleć o Genevieve. To, jak postąpiła, przysparzało mu zbyt wiele bólu. Dlaczego nie miałby zniknąć na ziemiach, których nie zamieszkiwał człowiek?

Jednym z powodów był Mark. Jego przyjaciel poniósł porażkę w walce w dole, lecz Royce nie widział chwili jego śmierci. W głębi duszy pragnął wierzyć, że jakimś sposobem Mark przeżył, gdy walki zostały tak raptownie przerwane. Czyż możni nie zechcieliby zobaczyć, jak walczy kolejny raz, gdyby mogli? Czyż nie chcieliby skorzystać z każdej chwili uciechy, której mógłby przysporzyć im jego przyjaciel?

– Mark musi żyć – powiedział Royce. – musi.

Nawet on sam spostrzegł, że próbuje przekonać sam siebie. Royce potrząsnął głową i biegł dalej przez las, próbując zorientować się, gdzie jest. Odnosił wrażenie, że nie zdoła nic zrobić, póki nie dotrze do domu. Dotrze tam, a wtedy, gdy będzie znów bezpieczny, zdoła obmyślić plan, jak postąpić. Zdoła podjąć decyzję, czy uciekać, spróbować odnaleźć Marka, czy jakimś cudem zebrać armię, z którą zmierzy się z ludźmi księcia.

– Być może ją wyczaruję – powiedział Royce, biegnąc dalej. Poruszał się teraz z prędkością ściganej zwierzyny, pochylając się nisko pod listowiem i depcząc po ściółce, ani na chwilę nie zwalniając.

Znał ten las. Znał wiodące przez niego ścieżki jak nikt inny, bo spędził w nim niezliczone godziny ze swymi braćmi. Ganiali się po nim i polowali na drobną zwierzynę. Teraz to jego ścigano, na niego polowano, to on próbował wydostać się z tarapatów. Był niemal pewien, że niedaleko stąd

biegnie szlak łowiecki, który prowadzi do niewielkiego strumienia, obok chaty węglarza i dalej ku wiosce.

Royce ruszył w jej stronę i biegł przez las, gdy uwagę od jego myśli odwrócił jakiś dźwięk dochodzący z oddali. Był cichy, lecz Royce z pewnością coś słyszał: był to odgłos stóp stąpających cicho po spękanej ziemi. Nie dosłyszałby go, gdyby nie spędził z braćmi tyle czasu w tych lasach ani gdyby nie nauczył się na Czerwonej Wyspie, że zagrożenia czyhają wszędzie.

– Zaczekać czy się ukryć? – powiedział na głos. Z łatwością mógłby wyjść na ścieżkę, gdyż słyszał, że nadchodzi tylko jedna osoba, a jej kroki nie brzmiały nawet jak kroki żołnierza. Krokom żołnierzy towarzyszył miarowy stukot butów, brzęk zbroi i tarcie drzewców włóczni o ziemię. Te kroki były inne. Najpewniej był to tylko jakiś chłop lub leśnik.

Pomimo tego Royce zatrzymał się i przykucnął w cieniu drzewa, którego korzenie wznosiły się łukiem. Tworzyły naturalną kryjówkę, w której zwierzęta po zmroku najpewniej szukały schronienia. Niektóre z gałęzi wisiały tu tak nisko, że Royce mógł przyciągnąć je do siebie, by się zasłonić, a zarazem widzieć ścieżkę. Przykucnął w miejscu i nie ruszał się, trzymając dłoń obok miecza.

Gdy Royce ujrzał samotną postać zbliżającą się na ścieżce, prawie wyszedł z ukrycia. Mężczyzna wyglądał na nieuzbrojonego i nie był zakuty w zbroję, miał na sobie jedynie luźne szare jedwabie, ciemne i bezkształtne. Na stopach miał pantofle z równie szarej niewyprawionej skóry, z rzemieniami oplatającymi mu nogi ponad kostką. Coś jednak powstrzymało go przed tym i gdy mężczyzna zbliżył się, Royce zobaczył, że jego skóra również jest szara, poznaczona fioletowymi i czerwonymi tatuażami, które układały się w zawijasy i symbole, jak gdyby ktoś użył go jako jedynej dostępnej powierzchni do zapisania nieskładnego tekstu.

Royce nie był pewien, co to wszystko miało znaczyć, ale było w tym mężczyźnie coś groźnego, czego nie potrafił nazwać. Naraz odczuł wdzięczność, że pozostał w swej kryjówce. Miał wrażenie, że gdyby stał teraz na drodze, doszłoby pomiędzy nimi do starcia.

Poczuł, jak dłoń zaciska się mu na rękojeści miecza, a chęć wyskoczenia z ukrycia pojawiła się nieproszona w jego umyśle. Royce zmusił się, by rozluźnić dłoń, przypominając sobie o polu naszpikowanym pułapkami na Czerwonej Wyspie. Chłopcy, którzy bez zastanowienia ruszyli przed siebie, zginęli jeszcze nim Royce zdążył choćby zacząć bezpiecznie przeprowadzać ich na drugą stronę. Teraz czuł się podobnie. Niezupełnie się bał, ale zarazem czuł, że ten mężczyzna z łatwością mógłby wyrządzić komuś krzywdę.

W tej chwili uznał za rozsądne, by się nie poruszać, a nawet nie oddychać.

Pomimo tego mężczyzna na drodze zatrzymał się i przechylił głowę na bok, jak gdyby czegoś nasłuchiwał. Royce zobaczył, że wędrowiec kuca i marszcząc brwi wybiera z kieszeni jakieś przedmioty, po czym rozrzuca je na ziemi.

– Los ci sprzyja – odezwał się nieznajomy, nie podnosząc wzroku. – Uśmiercam jedynie tych, do których zabicia posyła mnie przeznaczenie, a runy mówią, że nie nadszedł jeszcze czas, byśmy walczyli, nieznajomy.

Royce nie odpowiedział, a wędrowiec zaczął zbierać swoje kamienie, jeden po drugim.

– Jest pewien chłopiec, który musi zginąć, gdyż tak nakazuje przeznaczenie – rzekł mężczyzna. – Lecz mimo tego powinieneś poznać moje imię i dowiedzieć się, że ostatecznie przeznaczenie dosięga nas wszystkich. Na imię mi Popiół, jestem angarthimem z martwych miejsc. Powinieneś stąd odejść. Runy mówią, że sprowadzisz śmierć na wielu ludzi. Och, i nie idź w stronę tej wsi – dodał jak gdyby po namyśle. – Gdy ją opuszczałem, zmierzał do niej liczny oddział żołnierzy.

Wstał i ruszył bezgłośnie przed siebie. Kucający Royce oddychał ciężej, niż powinien, zważywszy na to, że jedyne co robił, to ukrywał się. W wędrowcu było coś, co niemal przyprawiało go o gęsią skórkę, było w nim coś niewłaściwego, czego Royce nie potrafił nawet ubrać w słowa.

Gdyby miał więcej czasu, być może nie wyszedłby z kryjówki, oczekując kolejnych zagrożeń ze strony mężczyzny. Liczyły się jednak tylko jego słowa. Skoro żołnierze zmierzali w stronę wsi, mogło to oznaczać tylko jedno…

Puścił się znów biegiem, jeszcze szybciej niż wcześniej. Po prawej zobaczył chatę węglarza, a za nią dym świadczący o tym, że jej właściciel był właśnie w trakcie pracy. Stał przed nią przywiązany do słupa koń, który wyglądał na nawykłego bardziej do ciągnięcia wozu niż niesienia na grzbiecie jeźdźca. W chacie było cicho i innego dnia Royce być może zastanowiłby się nad tym lub zawołałby właściciela, by przekonać go do pożyczenia konia.

Teraz jednak odciął go tylko od słupa, wskoczył na grzbiet zwierzęcia i wbił pięty w jego boki, by popędzić go w przód. Jakimś cudem zwierzę wiedziało, czego chce od niego jeździec i pogalopowało przed siebie, a Royce trzymał się jego grzbietu z nadzieją, że dotrze na czas.

* * *

Gdy Royce wyłonił się z lasu, słońce zachodziło i czerwień nieba zaciskała się na świecie niby zbroczona krwią pięść. Przez chwilę blask zachodzącego słońca oślepił Royce'a i młodzieniec nie widział ziemi. Cały świat zdawał się płonąć.

Wytężył jednak wzrok i zrozumiał, że płomienista czerwień nie była iluzją stworzoną przez blask zachodzącego słońca. Jego wieś stała w ogniu.

Jedne jej części paliły się żywo – ogień przemienił kryte strzechą dachy w ogniska i cały widnokrąg zdawał się być nimi przysłonięty. Większa część była jednak poczerniała i kopciła się, a osmolone drewniane słupy stały niczym szkielety zniszczonych budynków. Jeden z nich zatrzeszczał i runął na ziemię z hukiem na oczach Royce'a.

– Nie – wymamrotał, zsiadając ze skradzionego konia i prowadząc go za sobą. – Nie, nie mogłem się spóźnić.

Tak jednak było. Ogień, który jeszcze płonął, płonął już długo, i trawił teraz jedynie największe budynki, gdzie najwięcej było do spalenia. Reszta wsi była zwęglona i zasnuta gryzącym dymem. Ogień podłożono już tak dawno temu, że Royce nie mógł zdążyć. Mężczyzna, którego minął na drodze, powiedział, że żołnierze wchodzili do wsi, gdy on ją opuszczał, ale Royce nie wziął pod uwagę odległości i czasu, który upłynął, gdy ją pokonywał.

Wreszcie nie mógł już odwlekać tej chwili i opuścił spojrzenie na leżące na ziemi ciała. Było ich tak wiele: mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, wszyscy zabici bez wyjątku, i najwyraźniej bez litości. Niektóre ciała leżały pośród ruin, tak osmolone jak otaczające je drewno, inne leżały na ulicach z otwartymi ranami, które tłumaczyły, w jaki sposób zginęli. Royce widział niektórych ciętych od przodu – ci próbowali walczyć – a innych zaszlachtowanych od tyłu, gdy usiłowali uciekać. Ujrzał leżący po jednej stronie stos ciał młodych kobiet. Czy myślały, że to kolejny rajd możnych, podczas którego zabiorą im to, czego chcą, aż do chwili, w której ktoś poderżnął im gardła?

Royce'a przeszył ból, wściekłość i setka innych uczuć, zebranych w kulę, która mogłaby rozsadzić jego serce na dwoje. Ruszył chwiejnym krokiem przez wieś, patrząc na kolejne ciała, ledwie wierząc, że nawet ludzie księcia mogli być zdolni do czegoś takiego.

A jednak byli, i nie dało się tego cofnąć.

– Matko! – zawołał Royce. – Ojcze!

Ośmielił się żywić nadzieję pomimo okrucieństwa, które widział wokół. Niektórym z mieszkańców wsi musiało udać się uciec. Szukający łupów żołnierze byli nieuważni, a ludzie mogli zbiec, nieprawdaż?

Royce natknął się na kolejny stos ciał. Te wyglądały inaczej, gdyż nie widniały na nich żadne rany od miecza. Ci ludzie wyglądali jak gdyby po prostu… umarli, zabici może i nawet gołymi rękoma, choć nawet na Czerwonej Wyspie uznawano to za trudne. W tej chwili jednak Royce nie dbał o to, bo choć byli to ludzie, których znał, to nie ich szukał. Nie byli to jego rodzice.

– Matko! – zawołał znów. – Ojcze!

Wiedział, że mogą go usłyszeć żołnierze, jeśli jeszcze tutaj są, ale nie zważał na to. Po części nawet pragnął, by się tu zjawili, bo to dałoby mu szansę zabicia ich i pomszczenia wymordowanych.

– Jesteście tu? – krzyknął Royce. Z jednego z budynków wyszła niepewnym krokiem jakaś postać, pokryta sadzą i wymizerowana. Na ułamek sekundy Royce'owi zadrżało serce, gdyż pomyślał, że być może to jego matka go usłyszała, lecz spostrzegł się, że to nie ona. Rozpoznał za to sylwetkę Starej Lori, która zawsze straszyła dzieci swymi opowieściami i która czasem twierdziła, że posiada dar Wzroku.

– Twoi rodzice nie żyją, chłopcze – powiedziała i w tej chwili świat Royce'a runął. Wszystko zatrzymało się w miejscu, uwięzione pomiędzy jednym uderzeniem serca a drugim.

– To niemożliwe – odrzekł Royce, potrząsając głową, nie chcąc dać temu wiary. – To niemożliwe.

– To prawda – Lori podeszła do pozostałości niewysokiej ściany, by usiąść. – Nie żyją, co i mnie niedługo czeka.

Gdy mówiła, Royce zobaczył krew na jej sukni z samodziału i dziurę w miejscu, w którym przeszło ostrze miecza.

– Pozwól, że ci pomogę – powiedział i pomimo nowej fali bólu zalewającej go po jej słowach ruszył w jej stronę. Skupienie się na niej wydawało się być jedynym sposobem, by nie czuć bólu w tej chwili.

– Nie waż się mnie dotknąć! – odparła, wskazując na niego palcem. – Sądzisz, że nie widzę ciemności, która wlecze się za tobą jak peleryna? Sądzisz, że nie widzę śmierci i zniszczenia, które docierają do wszystkiego, czego dotkniesz?

– Ale ty umierasz – odparł Royce, próbując przemówić jej do rozsądku.

Stara Lori wzruszyła ramionami.

– Wszystko umiera… cóż, prawie wszystko – powiedziała. – Nawet ty kiedyś umrzesz, choć wcześniej wstrząśniesz światem. Ilu jeszcze zginie za twe marzenia?

– Nie chcę, by ktokolwiek ginął – odrzekł Royce.

– Zginą i tak – skontrowała starucha. – Twoi rodzice zginęli.

Nowa fala gniewu zalała Royce'a.

– Żołnierze. Ja…

– To nie żołnierze, nie oni ich zabili. Zdaje się, że jest więcej tych, którzy widzą kroczące za tobą zagrożenia, chłopcze. Przybył tu mężczyzna, i wyczułam od niego zapach śmierci tak silny, że się ukryłam. Zabił silnych mężczyzn bez krztyny wysiłku, a gdy wszedł do waszej chaty…

Royce domyślił się reszty. Zdał sobie sprawę w tej chwili z czegoś gorszego. Uderzyła go straszna myśl.

– Widziałem go. Widziałem go na drodze – powiedział Royce. Zacisnął pięść na mieczu. – Powinienem był wyjść. Powinienem był go ukatrupić na miejscu.

– Widziałam, co zrobił – odparła Lori. – Zabiłby cię z całą pewnością, tak jak ty zabiłeś nas wszystkich tylko przez to, że przyszedłeś na świat. Dam ci radę, chłopcze. Uciekaj. Uciekaj w dzicz. Niech nikt cię już nigdy nie zobaczy. Ukryj się, jak ja niegdyś, nim stałam się tym, kim jestem.

– Po tym? – zapytał rozwścieczony Royce. Czuł teraz na twarzy gorące łzy i nie wiedział sam, czy płyną z żalu, gniewu, czy z jeszcze innego powodu. – Sądzisz, że mogę odejść po tym wszystkim?

Starucha przymknęła powieki i westchnęła.

– Nie, nie sądzę. Widzę… Widzę, że w tej krainie dojdzie do zmian, król powstanie, król upadnie. Widzę śmierć i jeszcze więcej śmierci, a wszystko przez to, że nie możesz być nikim, jak tylko sobą.

– Pozwól, że ci pomogę – powtórzył Royce, wyciągając rękę w stronę Lori, by zatamować krew płynącą z jej boku. Przeskoczyła pomiędzy nimi iskra, podobna tej, która powstaje, gdy szybko potrze się wełnę, i Lori gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Co żeś teraz zrobił? – zapytała. – Idź, chłopcze. Idź! Zostaw staruszkę na śmierć. Jestem zbyt zmęczona. Zobaczysz jeszcze wiele śmierci, wszędzie gdzie się udasz.

Umilkła i przez chwilę Royce myślał, że być może odpoczywa, lecz przestała się całkiem poruszać. Wioska znów stała się nieruchoma i cicha. W tej ciszy Royce stał w milczeniu, nie wiedząc, co teraz zrobić.

Po chwili już wiedział i ruszył w stronę zgliszczy chaty swoich rodziców.

Rozdział czwarty

Raymond pojękiwał przy każdym szarpnięciu wozu, którym strażnicy wieźli jego i jego braci na miejsce, w którym mieli dokonać egzekucji. Odczuwał boleśnie każdy podskok i wstrząs, gdy jego posiniaczone ciało obijało się o deski wozu i słyszał brzęk kajdan, które zatrzymywały go w miejscu, trąc o drewno.

Odczuwał strach, choć w tej chwili przysłaniał go ból. Przez ciosy strażników miał wrażenie, że jego ciało jest jakimś stłuczonym przedmiotem, pozlepianym z ostrych odłamków. Po takich przeżyciach trudno było mu się skupić, nawet na straszliwym widmie śmierci.

Strach, do którego udawało mu się dotrzeć, brał się głównie z troski o braci.

– Jak daleko jeszcze, jak sądzicie? – zapytał Garet. Najmłodszy brat Raymonda zdołał podnieść się i usiąść w wozie i Raymond zobaczył sińce, które pokrywały jego twarz.

Lofen podniósł się i usiadł wolniej. Wynędzniał przez pobyt w lochu.

– Jakkolwiek daleko, i tak zbyt blisko.

– Jak sądzicie, dokąd nas wiozą? – zapytał Garet.

Raymond rozumiał, dlaczego jego młodszy brat chciał to wiedzieć. Myśl o czekającej ich egzekucji była straszna, ale nie wiedzieć, co się dzieje, gdzie się to stanie ani w jaki sposób – było jeszcze gorzej.

– Nie wiem – zdołał wydukać Raymond, choć samo mówienie sprawiało mu ból. – Musimy być dzielni, Garecie.

Zobaczył, że brat kiwa głową. Wyglądał na zdeterminowanego pomimo sytuacji, w której we trzech się znaleźli. Po obu stronach drogi przesuwały się wsie, gospodarstwa i pola, a w oddali drzewa. Wznosiło się tu kilka pagórków i stało kilka budynków, ale wyglądało na to, że są już z dala od grodu. Wozem powoził jeden strażnik, a drugi siedział obok niego z kuszą w gotowości. Dwóch kolejnych jechało po obu stronach wozu, rozglądając się, jak gdyby lada chwila spodziewali się jakichś kłopotów.

– Cisza tam! – wrzasnął na nich ten z kuszą.

– A co zrobicie? – zapytał Lofen. – Zabijecie nas bardziej?

– To pewno te wasze niewyparzone gęby zapewniły wam szczególne traktowanie – powiedział strażnik. – Zwykle tych z lochów wyciągamy i wykańczamy tak, jak książę sobie zażyczy, bez trudności. Wy za to jedziecie tam, dokąd jadą ci, którzy naprawdę zaleźli mu za skórę.

– Czyli dokąd? – zapytał Raymond.

Strażnik uśmiechnął się paskudnie w odpowiedzi.

– Słyszycie, chłopaki? – rzekł. – Chcą wiedzieć, dokąd jadą.

– Niebawem się przekonają – odparł woźnica i trzasnął wodzami, by pospieszyć trochę konie. – Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy cokolwiek wyjawiać przestępcom poza tym, że spotka ich wszystko, na co zasługują.

– Zasługują? – zapytał Garet z tyłu wozu. – Nie zasługujemy na to. Nie zrobiliśmy nic złego!

Raymond usłyszał krzyk swego brata, gdy jeden z jeźdźców zdzielił go w plecy.

– Myślisz, że ktokolwiek dba o to, co masz do powiedzenia? – warknął mężczyzna. – Sądzisz, że każdy, kogo wieźliśmy tą drogą nie próbował zapewniać nas o swej niewinności? Książę orzekł, że jesteście zdrajcami, czeka was więc śmierć zdrajców!

Raymond chciał przysunąć się do brata i upewnić się, że nic mu nie jest, ale nie pozwalały na to kajdany, którymi go skuto. Przeszło mu przez myśl, by powtórzyć, że naprawdę nic nie zrobili, spróbowali się jedynie sprzeciwić uciskowi, gdy próbowano wszystko im odebrać, lecz w tym właśnie tkwiło sedno całej sprawy. Książę i możnowładcy robili, co im się podobało, zawsze tak było. Było oczywiste, że książę mógł posłać ich na śmierć, bo takie prawo tutaj panowało.

Na tę myśl Raymond szarpnął się i pociągnął kajdany, jak gdyby sama siła miała wystarczyć, by się uwolnił. Metal z łatwością utrzymał go w miejscu, pozbawiając nikłych ostatków sił. Młodzieniec osunął się ponownie na deski.

– Popatrzcie no, próbują się uwolnić – powiedział kusznik ze śmiechem.

Raymond zobaczył, że woźnica wzrusza ramionami.

– Będą się szarpać mocniej, gdy przyjdzie czas.

Raymond chciał zapytać, co mają na myśli, ale wiedział, że nie może liczyć na odpowiedź, a jedynie na pobicie, podobnie jak jego brat. Siedział więc cicho, gdy wóz toczył się dalej chybotliwie po polnej drodze. Była to, jak sądził, część udręki. Nie wiedzieli, dokąd jadą, a zarazem byli świadomi własnej bezradności – byli całkowicie niezdolni zrobić nic, by choćby dowiedzieć się, dokąd zmierzają, nie mówiąc już o zawróceniu wozu.

Wóz toczył się przez pola, obok kęp drzew i leżących w poddańczej ciszy wiosek. Ziemia wokół nich stopniowo się wznosiła, aż utworzyła wzgórze, na którym stał fort niemal tak stary, jak samo królestwo. Kamienne ruiny leżały na szczycie niczym świadectwo królestwa, które było tu przed obecnym.

– Jesteśmy prawie na miejscu, chłopcy – odezwał się woźnica z uśmiechem, który świadczył o tym, że zdecydowanie za bardzo mu się to podoba. – Gotowi, żeby przekonać się, co obmyślił dla was książę Altfor?

– Książę Altfor? – zapytał Raymond, nie wierząc własnym uszom.

– Temu waszemu bratu udało się zabić poprzedniego księcia – rzekł kusznik. – Cisnął włócznią prosto w jego serce obok dołu, i uciekł jak ten tchórz. A teraz wy zapłacicie za jego zbrodnie.

W chwili, gdy to powiedział, w Raymondzie zawrzało od natłoku myśli i uczuć. Jeśli Royce naprawdę to zrobił, znaczyło to, ze jego przyrodni brat dokonał czegoś ogromnie ważnego dla wolności ludu i zdołał uciec. Oba te wydarzenia były powodem do radości. Zarazem Raymond mógł sobie tylko wyobrażać, w jaki sposób syn poprzedniego księcia będzie chciał pomścić ojca, a że nie mógł dokonać zemsty na Roysie, logiczną koleją rzeczy było, że uweźmie się na nich.

Raymond spostrzegł się, że przeklina Genevieve. Gdyby jego brat nigdy jej nie ujrzał, nic z tego by się nie zdarzyło, a ona wszak nawet nie dbała o Royce'a, prawda?

– O – odezwał się kusznik. – Chyba zaczynają rozumieć.

Konie ciągnęły wóz, poruszając się równym tempem stworzeń, które nawykły już do swego zadania, i które wiedziały, że one przynajmniej powrócą z miejsca, w które się udają.

Pięli się pod górę i Raymond wyczuł wzrastający niepokój w swych braciach. Garet wiercił się to w tę, to we w tę, jak gdyby szukał sposobu, by się uwolnić i wyskoczyć z wozu. Jeśli zdoła, Raymond miał nadzieję, że wykorzysta tę szansę, puści się biegiem przed siebie i nawet nie obejrzy, choć wiedział, że jeźdźcy najpewniej zdołaliby go ściąć, nim przebiegłby kilkanaście kroków. Lofen zaciskał i rozluźniał pięści, szepcząc coś, co brzmiało jak modlitwa. Raymond wątpił, by miało im to pomóc.

Wreszcie dotarli na szczyt wzgórza i Raymond zobaczył, co ich tam czekało. To wystarczyło, by skulił się z tyłu wozu, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu.

Na szczycie wzniesienia poustawiano wiszące na łańcuchach w cieniu powalonej wieży klatki w kształcie człowieka. Skrzypiały, poruszane podmuchami wiatru. Były w nich ciała, niektóre obrane do kości przez padlinożerców, inne na tyle nienaruszone, że Raymond widział przerażające rany i ślady ugryzień, które je pokrywały, oparzenia i miejsca, gdzie skóra wyglądała jak odcięta długimi nożami. Na niektórych ciałach wycięto symbole i Raymond rozpoznał jedną z kobiet, którą wyprowadzono wcześniej z ich celi. Na jej ciele ktoś powycinał kręte znaki i runy.

– Pictowie – wyszeptał Lofen z widocznym przerażeniem, ale Raymond zauważył, że to nie najgorsze, co ich czekało. Ludzie w klatkach byli poranieni tak, jakby zostali torturowani i zabici, pozostawieni na pastwę tych dzikich, którzy akurat się tu pojawili, lecz to, co leżało na głazie pośrodku wzniesienia było znacznie gorsze.

Sam głaz miał kształt płyty. Wyryte na nim były symbole dzikich i znaki, które mogłyby być magiczne, gdyby magia była teraz powszechna. Leżały na nim szczątki mężczyzny i najgorsze było to, że pojękiwał z udręką, choć nie miał ku temu prawa. Jego ciało było pocięte i oparzone, poznaczone śladami ugryzień i równymi śladami szponów, lecz mimo tego, choć zdawało się to niemożliwe, żył.

– Zwą to głazem życia – powiedział woźnica z uśmieszkiem, który zdradzał, że wiedział doskonale, jak bardzo Raymond się teraz bał. – Mówią, że ongiś uzdrowiciele używali ich, by utrzymać ludzi przy życiu, gdy szyli i pracowali. My znaleźliśmy dla niego lepszy użytek.

– Lepszy? – zapytał Raymond. – To jest…

Nie przychodziły mu nawet na myśl słowa, którymi mógłby to określić. "Złe" nie było wystarczające. Nie było to zbrodnia wobec ludzkich praw, lecz coś, co stało w sprzeczności ze wszystkim, co istniało w naturze. Było to niewłaściwe w sposób, który zdawał się stać przeciwko wszystkiemu, czym było życie, rozsądek i porządek.

– To czeka zdrajców, chyba że poszczęści im się i zginą wcześniej – powiedział woźnica. Skinął głową do tych dwóch, którzy jechali obok wozu. – Uprzątnijcie to. Cokolwiek zrobił, teraz już nie jego kolej. Oczyśćcie klatki, żeby przyciągnąć zwierzęta.

Dwaj strażnicy niechętnie zabrali się do pracy i Raymond uciekłby w tej chwili, gdyby mógł, ale kajdany trzymały zbyt mocno. Nie mógł nawet unieść się ponad krawędź boku wozu, nie mówiąc już o tym, by go przeskoczyć. Strażnicy zdawali się wiedzieć o tym i przechodzili bez pośpiechu od jednej klatki do drugiej, wyciągając z nich ciała mężczyzn i kobiet i rzucając je na ziemię. Niektóre z nich rozpadały się, i części ciała leżały porozrzucane na zboczu wzgórza, póki nic ich nie pożarło.

Kobieta, która była z nimi w celi, otarła się o leżący na środku zbocza głaz, gdy odrzucili jej ciało na bok, i jej oczy otworzyły się szeroko. Wydała z siebie krzyk, który – jak Raymond był pewien – będzie nawiedzał go, póki nie umrze. Był tak przenikliwy i pełen bólu, że nie mógł nawet domyślać się, jakie męki tutaj znosiła.

– Musiała jeszcze żyć – powiedział strażnik z kuszą, gdy inni odsuwali jej ciało od głazu. Zamilkła ponownie, gdy tylko przestała go dotykać, lecz dla pewności kusznik przeszył jej pierś bełtem, nim rzucili ją na bok.

Następnego odciągnęli mężczyznę na głazie i Raymonda najbardziej zaszokowało to, że podziękował im za to. Podziękował im za to, że odciągają go na bok, by umarł. Gdy tylko ściągnęli go z głazu, Raymond zobaczył, że przeistoczył się z udręczonego, krzyczącego człowieka w pozbawioną życia kupę mięsa, aż zdawało się zbyteczne, gdy jeden ze strażników dla pewności poderżnął mu gardło.

Na zboczu zapanowała teraz cisza, nie licząc krzyków padlinożernych ptaków i szmerów, które zapowiadały większych drapieżników nieco dalej. Być może w pobliżu byli nawet ludzie drapieżcy, bo Raymond słyszał, że cywilizowani ludzie nie widywali Pictów w ich dzikich domach, gdy ci nie chcieli, by ich widziano. Niewiedza była najgorsza.

– Książę mówi, że macie zginąć – rzekł woźnica. – ale nie powiedział, w jaki sposób, więc zagramy w grę, w którą gramy ze zdrajcami. Traficie do klatek i być może przeżyjecie, a być może umrzecie. Za dzień lub dwa, jeśli będę pamiętał, wrócimy i wybierzemy jednego z was na głaz.

Spojrzał wprost na Raymonda.

– Być może będziesz to ty. Będziesz patrzył, jak twoi bracia giną, podczas gdy zwierzęta przyjdą się tobą żywić, a Pictowie ciąć twoje ciało. Nie cierpią mieszkańców naszego królestwa. Nie mogą przypuścić ataku na gród, ale z wami… z wami mogą robić, co im się podoba.

Roześmiał się z tego i strażnicy ściągnęli Raymonda z wozu, odpiąwszy jego kajdany od belki i siłą ściągając go z niego. Przez chwilę kierowali się w stronę głazu i Raymond niemal zaczął błagać ich, by go na nim nie umieszczali, myśląc, że być może zmienili zdanie i chcą położyć go na nim od razu. Zaprowadzili go jednak do jednej z wiszących klatek, wepchnęli do środka, zamknęli za nim drzwi i przekręcili klucz w zamku, do którego rozłupania potrzebne byłyby młot i dłuto.

W klatce było ciasno, tak że Raymond nie mógł wygodnie usiąść, ani nawet pomyśleć o tym, by się położyć. Klatka kołysała się z każdym podmuchem wiatru, skrzypiąc przy tym tak głośno, że samo w sobie zdawało się to torturą. Raymond mógł jedynie siedzieć w miejscu, gdy mężczyźni wpychali jego braci do innych klatek, nie mogąc im pomóc.

Garet opierał się, bo buntowanie się leżało w jego naturze. Zarobił jedynie cios w brzuch, nim strażnicy podnieśli go i wepchnęli do klatki, tak jak rolnik mógłby wepchnąć nieposłuszną owcę do zagrody. Z równą łatwością podnieśli Lofena i wepchnęli go do kolejnej klatki, by wisiał pośród unoszącego się dokoła nich od porzuconych na zboczu ciał odoru śmierci.

– Jakim cudem sądziliście, że was trzech może postawić się księciu? – zapytał woźnica. – Książę Altfor powiedział, że zapłacicie za to, czego dopuścił się wasz brat, i tak się stanie. Czekajcie i rozmyślajcie nad tym, i cierpcie. Jeszcze tu wrócimy.

Nie mówiąc już nic zawrócił wóz i zaczął się oddalać, pozostawiając Raymonda i jego braci zawieszonych w klatkach.

– Gdybym tylko mógł… – odezwał się Garet, próbując sięgnąć do zamka w swojej klatce.

– Nie potrafisz otworzyć zamka – powiedział Lofen.

– Chyba mogę spróbować, prawda? – burknął Garet. – Musimy spróbować coś zrobić. Musimy…

– Nic nie zrobimy – rzekł Lofen. – Być może zdołamy zabić strażników, gdy powrócą, ale nie otworzymy tych zamków.

Raymond pokręcił głową.

– Dosyć – powiedział. – Nie czas, byśmy się kłócili. Nie mamy dokąd pójść ani co zrobić, możemy więc choć nie kłócić się ze sobą.

Wiedział, że z miejsca takiego, jak to nie mają realnych szans na ucieczkę.

– Wkrótce – rzekł. – nadejdą zwierzęta, albo jeszcze coś gorszego. Być może później nie będę zdolny mówić. Być może ja… być może wszyscy będziemy martwi.

– Nie – powiedział Garet, potrząsając głową. – Nie, nie, nie.

– Tak – odparł Raymond. – Nie mamy na to wpływu, ale możemy odważnie stawić czoła śmierci. Możemy pokazać im, jak dzielnie giną uczciwi ludzie. Możemy nie okazać strachu, którego oczekują.

Zobaczył, że Garet blednie, a potem kiwa głową.

– Dobrze – powiedział jego brat. – Dobrze, mogę to zrobić.

– Wiem, że możesz – rzekł Raymond. – Możesz zrobić, co zechcesz, obaj możecie. Chcę powiedzieć… – jak mógł wyrazić to wszystko? – Kocham was obu i jestem niezwykle wdzięczny, że jestem waszym bratem. Jeśli muszę zginąć, rad jestem, że stanie się to w towarzystwie najlepszych ludzi, jakich znam.

– Jeśli – podkreślił Lofen. – Nic nie jest jeszcze przesądzone.

– Jeśli – zgodził się Raymond. – ale jeśli tak będzie, chciałem, byście o tym wiedzieli.

– Tak – odpowiedział Lofen. – Czuję to samo.

– Ja także – dodał Garet.

Raymond stał w klatce, starając się przybrać dzielny wyraz twarzy ze względu na swych braci i każdego, kto ich obserwował, gdyż był pewien, że ktoś lub coś obserwuje ich z ruin wieży. Przez cały czas starał się nie myśleć o prawdzie:

W tej sytuacji nie było żadnego “jeśli”. Już teraz Raymond dostrzegał pierwsze padlinożerne ptaki przysiadające na drzewach. Czekała ich śmierć. Nie wiadomo było jedynie, jak szybka i jak straszna.

Rozdział piąty

Royce klęczał pośród zgliszczy chaty swoich rodziców, a zwęglone kawały drewnianego szkieletu zwalały się na ziemię podobnie jak łzy, które staczały się po jego policzkach. Znaczyły drogę przez sadzę i pył, które pokrywały teraz jego twarz, tworząc na jego twarzy dziwne paski, lecz Royce nie dbał o to.

W tej chwili liczyło się jedynie to, że jego rodzice nie żyją.

Royce'a przepełnił żal, gdy patrzył na ich ciała, rozłożone na ziemi w zaskakująco cichym spoczynku, pomimo zniszczenia, jakie zadały płomienie. Miał ochotę potrząsnąć całym światem, podobnie jak jego palce szarpały jego splątane, coraz mocniej oprószone popiołem kosmyki włosów. Chciał znaleźć sposób, by to naprawić, lecz on nie istniał, Royce wykrzyczał zatem swój gniew i ból do niebios.

Widział mężczyznę, który to uczynił. Royce widział go na drodze, gdy wracał stąd z takim spokojem, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Nie wiedząc nawet o tym, mężczyzna przestrzegł go nawet przed żołnierzami, którzy zmierzali do wsi. Jaki zabójca tak postępował? Jaki zabójca zabijał, a następnie układał swoje ofiary tak, jak gdyby szykował je do honorowego pochówku?

To nie był jednak grób, Royce ruszył więc na tył obejścia i znalazł ciosak i łopatę. Zaczął kopać, nie chcąc zostawić ciał swych rodziców dla padlinożernych stworzeń, które tu przyjdą. W niektórych miejscach ziemia była twarda i osmolona, i od pracy bolały go mięśnie, lecz Royce czuł, że zasłużył na ten ból, tę udrękę. Stara Lori miała rację… to wszystko zdarzyło się przez niego.

Wykopał grób tak głęboki, jak tylko zdołał i ułożył w nim zwęglone ciała swych rodziców. Stanął na brzegu, myśląc nad słowami, które mógłby wypowiedzieć, ale nie przychodziło mu na myśl nic mądrego, z czym mógłby posłać ich do niebios. Nie był kapłanem, by znać ścieżki bogów. Nie był jakimś wędrownym bajarzem, który znał słowa na każdą okazję, od szalonej uczty po śmierć.

– Tak bardzo was oboje kocham – powiedział więc. – Ja… Żałuję, że nie mogę rzec nic więcej, ale wszystko, co mógłbym powiedzieć i tak sprowadziłoby się do tego.

Pochował ich tak ostrożnie, jak potrafił, a każda łopata ziemi lądująca w dole była dla niego jak cios młotem. Nad sobą usłyszał pisk jastrzębia i przepędził go, nie dbając o to, czy wrony i kawki rozpanoszą się nad resztą wsi. To byli jego rodzice.

Choć tak myślał, Royce wiedział, że nie może pochować jedynie ich. Ludzie księcia pojawili się tam przez niego – nie mógł pozostawić wszystkich, których zabili, na pastwę padlinożerców. Wiedział także, że sam nie zdoła wykopać grobu tak głębokiego, by zmieściły się tam wszystkie ciała.

Najlepsze, co mógł zrobić, to wznieść stos, by dokończyć to, co zaczęły płonące budynki. Royce ruszył więc przez wioskę i zaczął zbierać drewno, wyciągając je z zimowych zapasów i przeciągając ze zgliszczy budynków. Belki były najcięższe, lecz Royce był wystarczająco silny, by ciągnąć je po ziemi i układać w wielkie podpory stosu, który wznosił.

Gdy Royce skończył, zapadł już całkowity mrok, ale nie chciał spać we wsi pośród zmarłych. Szukał więc lampy, aż znalazł jakąś przed jednym z budynków, trochę tylko powykręcaną od żaru ognia, który próbował ją strawić. Rozpalił ją i przy jej świetle zaczął zbierać zmarłych.

Zebrał ich wszystkich, choć pękało mu serce. Młodych i starych, mężczyzn i kobiety, zebrał ich ciała z całej wsi. Przeciągał najcięższe i przenosił najlżejsze, układając je na miejsce na stosie i żywiąc nadzieję, że będą razem tam, gdziekolwiek trafia się po śmierci.

Był niemal gotowy, by podłożyć lampę pod stos, gdy przypomniała mu się Stara Lori; nie przeniósł jeszcze jej ciała zbierając ten ponury plon, choć kilkanaście razy – albo i więcej – mijał mur, o który się wcześniej oparła. Być może nie była jednak jeszcze martwa, gdy ją pozostawił. Być może przeczołgała się gdzieś dalej, by umrzeć na własnych warunkach, albo być może Royce po prostu jej nie zauważył. Pozostawienie jej ciała z dala od reszty wydało mu się niewłaściwe, wyruszył

więc w jego poszukiwaniu. Wrócił do miejsca, w którym leżała i szukał jej na ziemi wokół przy blasku lampy.

– Szukasz kogoś? – rozległ się głos i Royce obrócił się, a jego dłoń powędrowała do miecza w sekundzie, nim rozpoznał ten głos.

Należał do Lori, i nie do niej. Był mniej schrypnięty i nie tak słaby, mniej przedwieczny i umęczony upływającym czasem. Gdy weszła w krąg światła jego lampy, Royce spostrzegł, że tyczyło się to jej całej. Przedtem była starą, zniszczoną przez upływ czasu kobietą. Stojąca przed nim teraz kobieta była znów niemal młoda, miała pełne blasku włosy, przeszywające spojrzenie i gładką skórę.

– Kim jesteś? – zapytał Royce, a jego ręka powróciła do jego miecza.

– Jestem tym, kim zawsze byłam – odrzekła Lori. – Kimś, kto obserwuje i kimś, kto uczy się – Royce zobaczył, że kobieta opuszcza wzrok i przygląda się sobie. – Mówiłam, byś mnie nie dotykał, chłopcze, byś zostawił mnie i pozwolił umrzeć w spokoju. Nie mogłeś posłuchać? Dlaczego mężczyźni z twego rodu nigdy nie słuchają?

– Sądzisz, że ja to zrobiłem? – zapytał Royce. Czy ta kobieta – wciąż nie potrafił myśleć o niej jak o Lori – sądziła, że jest jakimś czarownikiem?

– Nie, głupi chłopaku – odpowiedziała Lori. – Ja to zrobiłam, ciałem, które nie pozwala mi odejść. Twój dotyk, jednego z Krwi, wystarczył, by to wywołać. Powinnam była wiedzieć, że coś takiego się stanie od chwili, gdy fale wyrzuciły cię nieopodal wsi, gdyś był dziecięciem. Powinnam była wtedy odejść, a nie stać i się przyglądać.

– Byłaś przy tym, jak tu trafiłem? – zapytał Royce. – Czy wiesz, kim jest mój ojciec?

Powrócił myślami do postaci w białej zbroi, którą widział w snach i do chwili, gdy dowódca na Czerwonej Wyspie rzekł, że nieznany mężczyzna, który go spłodził, ocalił mu życie. Royce nie wiedział o nim nic, poza tym, że symbol wypalony na jego dłoni był rzekomo jego symbolem.

– Wiem wystarczająco dużo – odrzekła Lori. – Twój ojciec był wielkim człowiekiem, w taki sposób, w jaki ludzie nazywają kogoś wielkim. Wiele razy walczył, wiele razy zwyciężył. Przypuszczam, że był wielki także na inny sposób: pomagał zawsze, gdy mógł i dbał o to, by ci, nad którymi sprawował opiekę, byli bezpieczni. Ten twój stos… to coś, co i on by zrobił, odważne, sprawiedliwe i bez reszty niemądre.

– Nie jest niemądrym chcieć uchronić naszych przyjaciół przed wronami – upierał się Royce, posyłając Lori surowe spojrzenie.

– Przyjaciół? – zamyśliła się na kilka chwil. – Przypuszczam, że po wielu latach kilkoro z nich mogłoby się nimi stać. Trudno mi prawdziwie się z kimś przyjaźnić, wiedząc, z jaką łatwością śmierć przychodzi do większości ludzi. I do ciebie przyjdzie, jeśli będziesz upierał się, by rozpalić ten sygnał świetlny, dzięki któremu wszyscy stąd do brzegu morza dowiedzą się, że ludzie księcia nie dokończyli swego dzieła.

Royce'owi nie przeszło to przez myśl, a jedynie to, co trzeba było zrobić dla mieszkańców jego wsi i to, co był im winien, po tym, jak ściągnął to na nich.

– Nie dbam o to – powiedział. – Niech przyjdą.

– Tak, zdecydowanie jesteś synem swego ojca – rzekła Lori.

– Wiesz, kim był mój ojciec? – zapytał Royce. – Powiedz mi. Proszę, powiedz.

Lori pokręciła głową.

– Sądzisz, że tak chętnie przyspieszę to wszystko, co ma nadejść? Z tego, co widziałam, i bez tego nadejdzie wystarczająco dużo śmierci. Rzeknę ci tyle: spójrz na symbol, który nosisz. A teraz powiedz – czy pozwolisz staruszce odejść, nim zrobisz coś głupiego, jak podłożenie tego ognia?

W Roysie wezbrała wściekłość i przysłoniła jego żal.

– Czy nie dbasz ani trochę o tych ludzi? Odejdziesz, nim to się zakończy?

– Już się zakończyło – skontrowała Lori. – Śmierć oznacza koniec. I nie waż się oskarżać mnie o to, że nie dbam o nich. Widziałam rzeczy, które… ach, na cóż to wszystko!

Wyciągnęła dłoń ku stosowi, który wzniósł Royce, i zaczęła mamrotać słowa w jakimś obcym języku. Od jego brzmienia Royce'a rozbolały uszy. Ze stosu zaczął dobywać się dym, a potem pierwsze nieduże płomyczki ognia.

– Proszę, czy teraz czujesz się lepiej? – zapytała. – Zdołałam powstrzymać się przed ucieknięciem się do tego, gdy mężczyzna dźgnął mnie mieczem, zamierzałam pozwolić sobie zginąć, choć i tak nie miałam mocy postąpić inaczej, za stara już jestem. A teraz ty sprawiłeś, że dokonałam tego w pięć minut, niech cię wszyscy diabli!

Jej gniew zrobił wrażenie na Roysie. Było w nim coś niemal pierwotnego. Pomimo tego musiał ją o coś zapytać.

– Czy ty… czy miałaś moc, by ocalić ludzi w wiosce, Lori?

– Obrócisz to tak, by okazało się, że wina jest moja? – zapytała. Skinęła głową ku miejscu, w którym ogień zaczynał się rozprzestrzeniać. – Magia to nie jedynie wzniesienie siłą woli ściany ognia albo przywołanie gromu z nieba, Royce. Z odpowiednio długim rytuałem być może zdołałabym dokonać czegoś, co wywarłoby na tobie wrażenie, lecz taka iskra to mniej więcej tyle, na ile mnie teraz stać. A teraz pójdę już i nie próbuj mnie zatrzymywać, chłopcze. I tak przysporzysz mi wystarczająco dużo kłopotów.

Odwróciła się i przez chwilę Royce chciał chwycić ją za ramię, lecz coś nakazało mu się wstrzymać. Stał więc, patrząc, jak ogień rozrasta się w mroku. Przed sobą widział rozedrgane płomienie i iskry ogniska, które rosło, rozrastając się w coś, co zdawało się pochłaniać swym żarem cały nieboskłon.

Royce stał tak nieruchomo, jak tylko mógł, myśląc o wszystkich ludziach, których pochłaniał ten ogień. Pragnął oddać im cześć, patrząc na ich ostatnie chwile, nim ich ciała spłoną doszczętnie. Ogień płonął żywo, rosnąc i malejąc z wiatrem i żywiąc się drewnem i ciałami, tak że Royce'owi zdawało się, że to symfonia zrodzona z ognia.

Wtem coś innego przemknęło przez płomienie. Ciemna sylwetka zarysowała się na ich tle, przelatując przez nie z taką łatwością, jak gdyby ich nie czuła. Royce dojrzał sylwetkę wielkiego jastrzębia łowczego, z rodzaju tych, które nurkowały w pobliskich jeziorach. Ten okaz nie był jednak zwyczajny. Tam, gdzie nie miały barwy głębokiej, sadzowej czerni, jego pióra zdawały się być w kolorze płomiennej czerwieni, a gdy ptak spojrzał na Royce'a, kołując nad nim i mieniąc się w ciemności niczym żar, młodzieniec spostrzegł, że jego spojrzenie jest nad wyraz inteligentne.

Wiedziony przeczuciem, Royce wyciągnął w górę rękę tak, jak widział że robią to sokolnicy i ptak usiadł ciężko na jego przedramieniu, a następnie przeszedł na jego ramię i zaczął przeczesywać dziobem pióra. Przemówił, i dobył się z niego głos Lori.

– Ten ptak to podarek, choć bogowie jedni wiedzą, czemu to robię. Będę widziała to, co ona widzi i mówiła ci, co będę mogła. Niech ona będzie twoimi oczami i powstrzyma część tego, co ma nadejść.

– Co? – zapytał Royce. – Co masz na myśli?

Odpowiedź nie nadeszła, nie licząc przenikliwego pisku jastrzębicy, gdy ptak wzbił się w powietrze. Przez chwilę Royce widział pod sobą ogień, a krąg, w który układały się płomienie, wydał mu się tak niewielki z wysoka…

Raptem powrócił do siebie i wyciągnął rękę, by ptak mógł na niej usiąść. Jastrzębica przysiadła na niej tak swobodnie, jak gdyby nic się nie stało, lecz Royce zorientował się, że patrzy na niego. W jej oku żarzyła się iskra, która świadczyła jasno, że nie jest to zwyczajny ptak.

– Iskra – powiedział Royce. – Dam ci na imię Iskra.

* * *

Royce stał z Iskrą przez całą noc, nie zważając na to, że nękał go ból w nogach, a jego ciało pragnęło zmusić go do ruchu. Trzymali wartę przy płomieniach, a jastrzębica od czasu do czasu wzbijała się ponad nie i szybowała w oparach, które tworzyły.

Royce nie poruszył się. Czuł, że jest to winny zmarłym.

Wreszcie słońce wzeszło nad linię widnokręgu, a wtedy spostrzegł mężczyzn i kobiety stojących na skraju linii drzew nieopodal wsi. Odwrócił się w ich stronę i poczuł, że się potyka. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa po tak długim bezruchu. Jeśli byli to ludzie księcia, był już martwy, tak jak przewidziała Lori.

Jakieś silne ręce podniosły go, gdy ludzie zbliżyli się do niego i teraz Royce rozpoznał niektórych spośród nich. Byli to przyjaciele z wioski i inni z innych wsi położonych nieco dalej, głębiej w księstwie. Byli mu równi wiekiem, niektórzy odziani jak leśnicy, inni przywdziali to, co mieli pod ręką. Wszyscy nieśli ze sobą broń.

Royce rozpoznał jednego z chłopców, którzy go podnieśli, rosłego młodzieńca o imieniu… chyba Hendrik, prawda?

– Co tu robicie? – zapytał ich Royce. Spojrzał na kilku spośród tych, którzy pochodzili z jego osady. – Sądziłem…

– Niektórzy z nich zdołali uciec – odparł Hendrik. Przewyższał Royce'a o głowę i niektórzy żartobliwie napomykali, że musi mieć w żyłach domieszkę krwi trolla, taki był wysoki. – Doszły nas słuchy o tym, co tu zaszło i gdy zobaczyliśmy płonący ogień, przyszliśmy.

– To, co zrobiłeś, to, że rozpaliłeś ogień i stałeś przy nim – odezwała się dziewczyna o krótkich rudych włosach. Royce przypomniał sobie, że na imię jej chyba Matilde. – Tak trzeba było zrobić, wiesz?

Royce przytaknął, ponieważ rozumiał ją. Zdołał stanąć teraz bez niczyjej pomocy i powiódł spojrzeniem dookoła.

– Ale co wy tu wszyscy robicie? – zapytał.

– Przyszliśmy ci pomóc – odparł Hendrik, jak gdyby była to najzwyklejsza rzecz na świecie.

– Pomóc mi? – spytał Royce. – Pomóc mi w czym?

– Pomóc ci obalić księcia – odrzekła Matilde. – Usłyszeliśmy, co zrobiłeś w dołach, a w księstwie rozgorzała rebelia. Chcemy być jej częścią. Chcemy pomóc.

Royce zaczął kręcić głową, chcąc powiedzieć im, że nie zamierzał wszczynać rebelii, nie planował zabić nowego księcia, ktokolwiek nim jest. Pomyślał jednak o wszystkich mieszkańcach jego osady, którzy zginęli i o tym, kto musiał posłać ludzi, by ich zabili, i wiedział, że to nieprawda. Chciał śmierci nowego księcia, podobnie jak chciał ukatrupić mężczyznę, który zabił jego rodziców, po czym minął go, jak gdyby było to bez znaczenia.

– Będzie niebezpiecznie – odezwał się Royce. – Większość z was… nie nawykliście do walki.

– Bardziej niebezpiecznie niż siedzieć w chacie i czekać, aż któryś z możnowładców postanowi, że nabrał do mnie upodobania? – zapytała Matilde.

– Bardziej niebezpiecznie niż bycie mniej wartymi od nich, gdy najeżdżają nasze wsie? – dodał Hendrik. – Nauczymy się walczyć. Ty będziesz nas uczył. A później…

A później nie będą już bezładną gromadą, Royce wiedział o tym. Będą dokładnie tym, czego potrzebował, jeśli naprawdę zamierzał pokonać Altfora i jego ludzi. Będą armią.

Rozdział szósty

Popiół tropił swą ofiarę przez noc. Widział w ciemności na tyle dobrze, że potrzebował jedynie blasku gwiazd. Ze spokojem podążał za znakami, które pokazywał mu świat. Przez pajęczą sieć, która obróciła się w niewłaściwym kierunku, zboczył ze ścieżki. Drzewo, którego sęki wyglądały jak pradawny znak Gaath oznaczający wędrówkę powiedziało mu, że idzie właściwą drogą.

– Wszystko jest tak, jak być powinno, bo nie może być inaczej, niż zarządzi przeznaczenie – przypomniał sobie Popiół, idąc. Były to słowa, których nauczyli go kapłani w domu, aż żadną częścią swojej jaźni nie mógł zaprzeczyć, że to prawda. – Naprzeciw potęgi przeznaczenia wszyscy są niewielcy. Któż płynąłby pod prąd oceanu?

Prawda tych słów zdawała się Popiołowi absolutna; była absolutna, gdyż w jego ojczyźnie ci, którzy poddawali w wątpliwość wolę znaków przeznaczenia kończyli zwykle jako ofiary, albo stawali się przedmiotami, na których nauczano Tysiąca Mąk lub wielu ścieżek śmierci. Mimo tego wiedział, jakie pytanie nasuwa się na myśl: skoro przeznaczenie rządzi wszystkim, by stało się tak, jak musi się stać, na cóż potrzebni byli angarthimowie? Odpowiedź była równie często powtarzana, co oczywista.

– Jesteśmy narzędziem, za pomocą którego przeznaczenie wraca na właściwy tor – powiedział Popiół. – Jesteśmy ramieniem szali, pchnięciem, które porządkuje chaos.

Mamrotał te słowa jak modlitwę – którą zresztą były – wraz z innymi starszymi zdaniami, idąc. Gdy znaki wokół niego wskazały mu miejsce, w którym miał odpocząć, usiadł krzyżując nogi i oparłszy plecy o drzewo odpoczywał w ten sposób, który nie całkiem był snem, póki zmęczenie nie opuściło jego ciała. Gotów do dalszej drogi, ruszył znów przed siebie ku miejscu, gdzie znajdował się duży dół, otoczony czymś w rodzaju trybun. Popiół widział już doły, w których walczono, choć wątpił, by tutaj odbywały się walki tak wyrafinowane jak pojedynki, w których on się szkolił.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, купив полную легальную версию на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.